



**23** Rok XVI  
(812)

CENA 1.50 ZŁ

**10. 6. 73**



Czytaj na str. 4

# ODGŁOSY

**TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY**

## Nauka i gastronomia

Z PROF. DR HAB. JERZYM DIETLEM — dyrektorem Instytutu Obrotu Towarowego na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ rozmawia — Włodzimierz Stokowski.

— Panie Profesorze, jaki charakter mają prace naukowe-badawcze Instytutu i co jest ich przedmiotem?

— Najogólniej mówiąc, wszystkie są związane z praktyką gospodarczą i jej mają służyć. Próbuje podejmować tematy, wybiegające w przyszłość i mające duże znaczenie praktyczne. Studia te mają jednak równocześnie walory poznawcze i metodyczne.

W Instytucie prowadzimy kilkanaście prac naukowo-badawczych, które wchodzą w zakres problemów węzłowych, szczególnie istotnych dla rozwoju gospodarki kraju. W ich ramach zajmujemy się problematyką związków między handlową obsługą wsi a strukturą przestrzenną rolnictwa, różnymi aspektami rynku, usług gastronomicznych, żywieniowych przykładowego oraz funkcjonowania przedsiębiorstw gastronomicznych, zagadnieniami systemu zarządzania handlem zagranicznym z punktu widzenia optymalizacji jego rezultatów i wreszcie niektórymi problemami struktury konsumpcji ludności. W Instytucie koordynujemy niektóre z tych badań w skali krajowej. Dużą część badań empirycznych prowadzimy w Łodzi i województwie łódzkim. Dzięki temu uogólnienia oparte na naszych badaniach służą nie tylko sprawie

(Dalszy ciąg na str. 6)



**PRYWATNE ŻYCIE Bolesława Prusa**

(Patrz str. 7)

**JERZY WILMAŃSKI**

Nie ma chyba niczego stworzonego przez ludzki umysł i ludzkie ręce, co nie byłoby przez ludzki umysł i ręce fałszowane. Oczywiście najczęściej fał-

## Fałszerze znaczków

szowane są pieniądze. I myślę, że u podłoża każdego fałszerstwa znajduje się zawsze pieniądz. Nawet, jeśli fałszuje się obraz Corota. Także wówczas, gdy fałszuje się małeńki skrawek papieru — znaczek pocztowy. To przecież i on posiada dla olbrzymiej rzeszy zbieraczy wartość wymierną w funtach, do-

(Dalszy ciąg na str. 6)

## ODESSA ZAWSZE ODESSA

**MAREK WAWRZKIEWICZ**

Nad ulicami Odessy rozpościerają się platany. Do wiosny jeszcze daleko, wiatr niesie w twarz śnieg z deszczem i słońce wygląda rzadko zza chmur. Ale — to już przecież południe! Więc platany zazieleniają się szybko i tworzą nad dachami przejeżdżających aut, nad głowami przechodniów, cieniste, zielone tunele. Spacer po centrum Odessy — to spacer z historią pod ręką. Ulicą Puszkina — na przykład — dochodzimy do Bulwaru Nadmorskiego. Po prawej — klasycystyczny budynek Rady Miejskiej, po lewej — tyłem odwrócony do tego gmachu pomnik Aleksandra Puszkina. A przed nimi — na wprost — rozlega przestrzeń odesskiego portu. W morze od lat spogląda z wysokiego brzegu wielkie oko armaty okrętowej, wydobytej z dna morską, z burt angielskiego brygu, zatopionego tu w XVIII wieku. I znów pod platanami wzdłuż bulwaru. Mijamy zgnilozielony budynek hotelu, który kiedyś nosił

### CZAS PRZESZŁY — TERAŹNIEJSZY (3)

dumną nazwę „Londyński” i znany jest z tylu powieści i opowieści i dochodzimy do placu, w którego centrum, jak kiedyś, przed wieloma laty, stoi pomnik kardynała Richelieu... Tu właśnie, z tego placu otwiera się szeroka perspektywa legendarnych potiomkinowskich schodów. Pamiętamy nieśmiertelne kadry filmu Eisensteina: idący lawą w dół żołnierze, trupy na stopniach schodów, uciekający tłum, kaleka bez nóg, toczący się po pochyłości dziecięcy wózek.

Wyjście na morze zamyka wielki, nowy budynek Dworca Morskiego. Dzisiaj rzadko kto wchodzi lub schodzi sławnymi schodami. Tuż obok w oszklonym pawilonie-gasienicy znajdują się ruchome schody.

Centrum miasta zbudowano na petersburską modłę: ulice krzyżują się pod kątem prostym, biegną równolegle do siebie, obejmując regularne kwadraty i prostokąty zabudowań. Nic nie zmieniło się od początku istnienia nowoczesnego miasta. W Teatrze Wielkim Opery i Baletu tak samo pasowicie plusz, biela się marmury, błyszczy złoto, tak samo wznoszą się nad widownią wielopiętrowe loże i balkony. A tamta Odessa, z kart książek Babla? Gdzie jest Mołdawianka, kawiarenki i kabaki, Benia Krzyk

i odessey molojcy? Tamtej Odessy już nie ma, na miejscach starych dzielnic, w których gnieździła się biedota, w których schronienie znajdowały bandy gotowych na wszystko złodziejów i rzeźmieszków, zbudowano całe kwartale nowych wielkich bloków. Miasto rozrosło się, w tym roku przekroczyło milion mieszkańców. Miasto jest inne, nowe. Czy to znaczy, że umarł ten lekki „szemrany” wdzięk, że roztopiło się w nowoczesności słynne odesskie poczucie humoru? Nie — Odessa — zawsze Odessa.

W miesiąc po wybuchu wojny — 22 lipca 1941 roku — rozpoczęły się bombardowania Odessy. Nasilały się

Dalszy ciąg na str. 9



STEFAN SUBERLAK — „Gospodarz” — (drzeworyt)



# CENTRUM ZDROWIA DZIECKA — NAJPIĘKNIEJSZY POMNIK

Nie jesteśmy państwem bogatym w sensie materialnego dorobku społeczeństwa, ale na pewno naszym m. in. bogactwem jest poczucie odpowiedzialności za przyspieszony rozwój kraju i ofiarność na rzecz tworzenia społecznym wysiłkiem tych wartości, które służą nam wszystkim obecnie i w przyszłości służyć będą przyszłym pokoleniom, będą świadectwem naszego patriotyzmu i rozumienia obowiązku obywatelskiego.

Tak było przy odbudowie kraju ze zniszczeń wojennych, przy odbudowie Stolicy. Tak na 1000-lecie Państwa Polskiego zrealizowane zostało hasło budowy 1000 szkół. Z tą samą świadomością tworzymy obecnie Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. W takim klimacie mogła powstać i rozwinąć się idea zbudowania najpiękniejszego z pomników — CENTRUM ZDROWIA DZIECKA.

Myśl wybudowania gigantycznego szpitala — pomnika powstała w 1965 roku. Wypowiedziała ją na łamach „Życia Warszawy”

znana pisarka Ewa Szelburg-Zarembina. Wkrótce potem powstał Społeczny Komitet Budowy, na czele którego stanął minister Janusz Wieczorek, przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, organizacji, która szczególnie wspiera finansowo i pracą społeczną, tę piękną inicjatywę. Patronat nad budową Centrum objął Związek Harcerstwa Polskiego. Nad budową, bo już w dniu 3 czerwca w Międzyzlesiu pod Warszawą, nastąpiło wmurowanie kamienia węgielnego w fundamenty pierwszego z budynków szpitala-pomnika.

W akcie erekcyjnym czytamy m. in.:

„położono kamień węgielny pod budowę pomnika-szpitala, symbolu wiecznej pamięci i bolesnego hołdu dzieciom polskim i dzieciom innych narodów — bezbronnych ofiarom okrucieństw II wojny światowej i hitlerowskiego ludobójstwa. Czcimy ich pamięć, oddając żyjącym to wszystko, czego nie stało tamtym: nasze serca, naszą miłość, troskliwą opiekę i dbałość o zdrowie i szczęśliwe życie w socjalistycznej Ojczyźnie. Tej sprawie służyć będzie Centrum Zdrowia Dziecka”.

Tak więc w pięć lat od rozpoczęcia społecznej zbiórki idea stworzenia tego szczególnego, wielkiego dzieła stała się rzeczywistością. A za następne pięć lat do Międzyzlesia przybędą pierwsi mali pacjenci, którym najnowocześniejsze zdobycze medycyny pozwolą powrócić do zdrowia.

Z woli społeczeństwa ten

monumentalny szpital, kosztowny kombinat pediatryczny powstaje wyłącznie dzięki ofiarności społecznej. Wg dokumentacji projektowo-kosztorysowej całość nakładów wyniesie ok. pół miliarda złotych. Do tej pory zgromadzono dary gotówkowe i rzeczowe o wartości ok. 300 milionów złotych, prowadząc równocześnie prace organizacyjne i administracyjne związane z budową również społecznie. Stałe rośnie konto wpłat na budowę Centrum, wnoszonych przez Polonię zagraniczną i wynosi aktualnie 330 tys. dolarów.

Można więc powiedzieć, że ofiarność naszego społeczeństwa przeszła wszelkie oczekiwania inicjatorów tego wielkiego przedsięwzięcia. Stworzenie Centrum stało się wyrazem i jednocześnie symbolem troski o zdrowie najmłodszego pokolenia. Listę ofiarodawców otwierają polscy hutnicy, którzy zobowiązali się dostarczyć

bezpłatnie potrzebną do budowy stal, o wartości przekraczającej 40 mln zł. Podobne zobowiązania zgłosiły niektóre zakłady przemysłu materiałowego budowlanych. FSO z Żerania dostarczy sanitarki, zakłady sprzętu medycznego niezbędną aparaturę. Artysci — plastycy przekazują swoje obrazy dla dekoracji wnętrza szpitalnych. Przekazano również drogie kosztowności, złote monety, dewizy... Przeprowadzony przez SARP konkurs na projekt architektoniczny również odbył się na zasadach bezpłatności, a najwybitniejsi lekarze opracowali koncepcję szpitala i nadal udzielają konsultacji na zasadach pracy społecznej. (Przypomnijmy, że konkurs wygrał zespół architektów Jacka Bolesławskiego i Andrzeja Bołtucia oraz konstruktora Andrzeja Zielińskiego).

Uroczystość w Międzyzlesiu zgromadziła tysiące spośród setek tysięcy tych, którzy swą ofiarnością, wspar-

ciem finansowym i pracą społeczną wspomagają tę piękną inicjatywę Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Zebrali się w tym miejscu przedstawiciele wszystkich środowisk i zawodów, kombatanci, byli więźniowie obozów, młodzież, przedstawiciele Polonii.

Podczas uroczystości zabrał głos przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński, który powiedział między innymi:

„Niezwyczajny to pomnik. Pamięć poległych i zamordowanych ma służyć żywym. Ma służyć w sposób praktyczny i godny dzieciom całego kraju, teraz i w przyszłości. Wznosimy pomnik — budowlę życia. Pomnik — wielką historyczną alegorię na miarę naszej współczesności”.

I takie jest odczucie nas wszystkich!

J. W.

## GDZIE NA WAKACJE?

Zbliża się lato — czas pomyśleć o urlopie. Ale tak naprawdę, to o urlopie trzeba było pomyśleć znacznie wcześniej. Ludzie pozamawiali już sobie kwatery w górach, nad morzem i nad jeziorami, wykupili wczas, a teraz przystąpili do kompletowania wakacyjnego ekwipunku. O lecie — niestety — nie pomyśleli jeszcze organizatorzy wczasów i urlopów. Obszernie donosi o tym codzienna prasa. Oto „Życie Warszawy” walczy z dyrekcją okręgowego zespołu obiektów turystycznych PITK w Jeleniej Górze, a walczy o schroniska w Sudetach. Sezon prawie już się rozpoczął. Pierwsi

turyści wyruszą w góry, a schroniska nie są gotowe na ich przyjęcie. „Trybuna Ludu” natomiast gromi PKS za brak dodatkowych autobusów do podwarszawskich miejscowości, a w tym nad Zalewem Żegrzyński.

A co u nas? U nas w ubiegłą niedzielę ruszyła pierwsza „zielona linia” MPK: z Łodzi do Grotnik. „Express Ilustrowany” wydał specjalny „Informator turystyczny”, który zatytułował obiecująco: „Z czym na wakacje?” Na „Zdrowiu” zorganizowano gigantyczną giełdę sprzętu turystycznego. Dowiedziałem się też, że produkujemy znakomite wózki

do jazdy po polach golfowych oraz, że namioty produkowane w Legionowie i Częstochowie sprzedajemy turystom z Islandii, Chile, Australii, Anglii, Jugosławii, Północnej Afryki, Kuwejtu i Costa Rici. Namioty te można nabyć również w kraju i to w dużym wyborze. Ucieszyłem się z tego niewymownie, ale zaraz też zadałem sobie następujące pytanie: gdzie na wakacje?

Z dotychczasowej praktyki wiem, że nas zawsze lubi zaskakiwać aura. Najpierw wszyscy zgodnie zapewniali, że są przygotowani do zimy, lata, wiosny i jesieni, a zaraz po tym okazuje się, że znowu nas coś zaskoczyło. Od dłuższego czasu prowadziliśmy naukowe badania, aby dowiedzieć się, dlaczego aura musi nas zaskakiwać. Niestety, jak do tej pory nie uzyskaliśmy na ten temat wyczerpującej odpowiedzi. Co roku też przed nastaniem lata lub zimy ludzie się nadzieją, że może tym razem będzie in-

aczej, że może nie damy się zaskoczyć. Ale nie. Aura okazuje się chytrzejsza. Tak stało się i tym razem.

Z dużym żalem i zaskoczeniem dowiedziałem się, że np. plaża nadwarciańska pod zamkiem w Uniejowie nie będzie chyba czynna, gdyż do tej pory nie udało się tam wybudować... szaletu. Podobnie stało się w Książu, w Międzyzlesiu, również nad Wartą, w pobliżu Uniejowa zresztą. Jakies fatum widać zawisło nad tymi miejscowościami, że nie można tam postawić tak prostych urządzeń sanitarnych. Niemce ogarnęła budowlana, czy co?

Okazuje się jednak, że nie można panuje nie tylko nad Wartą, bo w niedaleko od Kąkulek położonej Mródzie nie zreperowano na czas tamy na rzecze Mródzie i dlatego nie można będzie tam ani kajakować, ani kąpać się. W Piątku natomiast turyści, którzy chcieliby obejrzeć sobie geograficzny środek Polski, nie posiądą się, chyba,

że na obiad udadzą się do Kutna lub Łęczycy. Być może jednak obie te miejscowości nieświadomie tego, co ich czeka też nie przygotowały się na przyjęcie głodnych turystów.

Perspektywy mamy za to promienne. Jak zwykle zresztą. Mamy już bowiem własne „morze”. Pod Sulejowem. Cieszą się z tego — jak na razie — wędkarze, choć osobiście nie wiem, czy w „morzu” tym są już ryby. Wiem natomiast, że w niedalekiej przyszłości nad Zalewem Sulejowskim będzie 17 tys. miejsc wczasowych, a w niedziele i święta będzie tam mogło wypocząć 46 tys. osób. Na początek przygotowuje się 2 tys. miejsc, a stanie się to w latach 1976—1977. Obecnie o wykorzystaniu brzegów Zalewu Sulejowskiego dla turystyki myślał projektanci. Budowlani przystąpili do pracy w 1975 roku. Jeśli — oczywiście — nie ich do tej pory nie zaskoczy.

A właściwie, skąd u nas

biorą się turyści? Kto zmusza ludzi do przezwycięzania się z jednej części kraju do innej? Czyż nie lepiej posiedzieć w domu, książki poczytać, pooglądać program telewizyjny, radia posłuchać, do kina pójść wieczorem. Taniej to wyniesie i kłopotu mniej. Ale nie. Ludzie uparli się, aby wypocząć nad morzem, jeziorem lub wręcz w górach. Ze to niby zdrowie! Może to i prawda. Ale tak długo turystyka będzie u nas kulała, jak długo będzie ona li tylko działalnością filantropijną, a nie stanie się częścią gospodarki. W innych krajach turystyka przynosi poważne dochody. Dlaczego nie może tak być i u nas?

Myślę, że może. Wielej nawet, powinna. I chyba też do tego dojdziemy. Im prędzej, tym lepiej dla nas wszystkich.

M. RODAK

## Ze świata

Nie zliczamy, ile razy na tym miejscu pisaliśmy o wielostronnych konsultacjach przygotowawczych do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Siedliśmy uważnie każdy po kolei, jak osiagano w toku trudnej dyskusji, w której czasem toczyły się całe batalie o jedno słowo. Dziś — po sześciu miesiącach obrad na posiedzeniach plenarnych, w komisjach i zespółach roboczych — przygotowawcze spotkanie przedstawicieli 34 krajów dobiega końca. Warto więc podsumować o wstępnym bilansie rozmów.

Idea zwołania europejskiej konferencji, wysunięta przez kraje socjalistyczne, długo torowała sobie drogę. Nie od razu wszystkie kraje poparły myśl zwołania tak szerokiego forum do dyskusji na temat przyszłości naszego kontynentu. Inne, choć nie odmawiały udziału, uzależniały go od światowego odprężenia. Kiedy więc przed sześciu miesiącami, po dziesiątkach konsultacji dwustronnych, rozpoczęły się rozmowy wielostronne — był to widomy znak, że Europa gotowa jest już do dyskusji o zasadach pokojowego współżycia. Ale przed uczestnikami konsultacji w Helsinkach wyłoniły się trudne problemy: jak różnorodność ocen, opinii i poglądów włączyć w nurt przygotowań do konferencji? Nikt zresztą nie miał doświadczenia w prowadzeniu tak szerokiej debaty.

Bilansując zatem półroczne konsultacji trzeba przede wszystkim podkreślić, że była to szeroka debata polityczna, w której ścierały się różne stanowiska. Aby więc uzgodnić poglądy niezbędna była dobra wola wszystkich uczestników rozmów. Nie zabrakło jej i dlatego konsultacje kończą się sukcesem.

Co w nich uzgodniono? Projekty poszczególnych punktów porządku dziennego. Określono nie tylko brzmienie punktów, ale ich treść, ramy dyskusji oraz wytyczne do przyszłych uchwał.

Ustalono, co trzeba uznać za największe osiągnięcie polityczne, listę 10 zasad współżycia państw na kontynencie europejskim.

Kiedy więc za miesiąc zbierze się konferencja — w pierwszej fazie na sześciu ministrów spraw zagranicznych

— jej zadanie będzie ułatwione, wiele doniosłych spraw przedyskutowali już ambasadorowie. Przypomnijmy konsultacji — przygotowawcze ma zatem głębszy sens.

Ostatecznie na konferencji omawiane będą trzy problemy: bezpieczeństwo europejskie, współpraca gospodarcza oraz kontakty międzynarodowe. Już tylko z wyliczenia tych punktów porządku dziennego wynika, jak wielką rolę odegra ona w procesie utrwalania pokoju w Europie.

\* \* \*

Pod koniec ubiegłego tygodnia nasz kontynent obiegła dobra wiadomość — trwające ponad dwa lata rokowania między rządami Czechosłowacji i Niemieckiej Republiki Federalnej zakończyły się pomyślnie. Uzgodniono tekst układu, który po wakacjach, w czasie pobytu Brandta w Pradze, zostanie podpisany. Otworzy to drogę do normalizacji stosunków między obu krajami.

Dwuletnie rokowania dotyczyły przede wszystkim rozwiązania raz na zawsze kwestii układu monachijskiego. W uzgodnionym dokumencie znajduje się stwierdzenie jego nieważności oraz jego moralno-polityczne potępienie. W ten sposób spełniony został podstawowy warunek, wysuwany przez stronę czechosłowacką.

Choć porozumienie ma charakter bilateralny — nie trzeba udawać jego szerokiego znaczenia. Zamknięto jeszcze jeden rozdział z przeszłości. Pomyślnemu finałowi rokowań uitorowało drogę konsekwentne stanowisko państw socjalistycznych, które popierały żądania Czechosłowacji, wychodząc z założenia, że monachijski dyktat musi być jednoznacznie potępiony.

\* \* \*

Innym wydarzeniem tygodnia, choć — jak piszą komentatorzy zachodni — bezrealistycznym, jest spotkanie dwóch prezydentów: Stanów Zjednoczonych i Francji. Miejscem tego spotkania był Reykjavik — stolica Islandii. Dlaczego? Wyjaśnił to Nixon w rozmowie z dziennikarzami. — Premier brytyjski Heath, kanclerz Brandt, premier Włoch And-

reotti przyjechali do Waszyngtonu, ale prezydent Pompidou — żalił się Nixon — uznał, że jest to tak długo niemożliwe, jak długo ja nie złożę najpierw wizyty we Francji. Ja tymczasem nie mogę udać się w Europie tylko do jednej stolicy...

Tak wtedy wybrano teren neutralny.

Tuż po zakończeniu dwudniowego spotkania prez. Pompidou powiedział, że mówiono na nim o wszystkim, a było ono, jak się wyraził żartobliwie, bardziej podobne do porządku niż porodu. Komentatorzy zaś podkreślają, że jedynym jego rezultatem jest pewne „złagodzenie kantów” we wzajemnych stosunkach. Lista problemów, które omawiali obaj prezydenci, jest długa, w żadnej jednak sprawie nie uzgodniono stanowiska do końca. I tak np. obserwatorzy rozmów piszą, że w dalszym ciągu nie ustalono od czego zacząć poprawę stosunków między Stanami Zjednoczonymi, a Europą Zachodnią — zdaniem Pompidou: od zaprowadzenia ładu w międzynarodowych stosunkach walutowych, zdaniem Nixona: od zwołania atlantyckiego szczytu, który stworzyłby „pomyślny klimat polityczny”. (Idea atlantyckiej konferencji budzi zastrzeżenia Francji, gdyż wypowiada się ona przeciwko „globalizacji” stosunków tzn. traktowania problemów obrony, handlu i walut jako całości).

Czy w wyniku Reykjavickiego szczytu stosunki między USA i Francją będą układać się lepiej niż dotychczas — wykaże czas. Zdania komentatorów są podzielone.

\* \* \*

Skoro — za sprawą Nixona i Pompidou — zawędrowaliśmy do Islandii, zakończmy przegląd wydarzeń stwierdzeniem, że tzw. wojna dorszowa bardzo zaostrza się. Ostatnio brytyjski MSZ oskarżył Islandię o zaatakowanie angielskiego trawlera. Przypomnijmy, że tem konfliktem jest prawo połowu przez statki brytyjskie ryb na wodach islandzkich wewnątrz 50-milowej strefy ochronnej. Anglie nie respektują tej strefy i dla ochrony swoich statków rybackich wprowadzili na wody islandzkie cztery fregaty. Reykjavik przyjął to jako dowód lekceważenia przez W. Brytanię suwerennych praw małego narodu i zwrócił się do Rady NATO z żądaniem sklonienia W. Brytanii do wycofania okrętów.

WITOLD SŁAWSKI



### ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZ-KIEWICZ.

Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.



## W OBRONIE NATURY



Żyjemy w mieście, w którym problemy ochrony naturalnego środowiska człowieka i jego zagrożenia nabierają szczególnego znaczenia. Łódź i aglomeracja łódzka jako teren dużej koncentracji przemysłowej narażona jest w większym stopniu od wielu innych regionów kraju na szkodliwe skutki rozwoju gospodarczego. Nic dziwnego więc, że wybiegając planami w przyszłość i zakładając dalsze procesy urbanizacyjne, musimy przedsięwziąć równoległe środki hamujące i ograniczające ujemne zjawiska. Słowem plan obejmować musi także obronę naturalnego środowiska na naszym terenie przed dalszą dewastacją.

Obecna sytuacja jest zła. To sobie musimy powiedzieć bez ogródek.

### Co pozostało z puszczy

Kiedyś na tym terenie, gdzie dziś rozrasta się miasto, znajdowała się puszcza. Ale dawna bogata oprawa leśna Łodzi, przy braku racjonalnej gospodarki i właściwego przewidywania, uległa na przestrzeni ostatnich 150 lat niemal całkowitej likwidacji.

Na terenie Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej tereny zajęte nie przekraczają 8 proc. powierzchni, co czyni ją jednym z najuboższych pod tym względem obszarów w kraju. Łasy w postaci rozdrobnionej grupują się w 4 rejonach: zgiersko-ozorkowsko-aleksandrowskim, brzezińsko-głowińsko-strykowski, między Koluszkami i Wiśniową Górą, oraz na linii Tuszyń — Huta Dłutowska — Łask.

Brak odpowiedniego zaplecza leśnego nie sprzyja przewietrzaniu i naturalnemu oczyszczaniu atmosfery, która na skutek zadymienia i coraz intensywniejszego zanieczyszczenia, nie zapewnia nam już dziś należytych warunków zdrowotnych.

### Rzeki trucielki

Bardzo źle przedstawia się sytuacja z wodą. Tu już nie o zatrucie ryb chodzi, ani o potyczki z trucielkami to-

(Dalszy ciąg na str. 4)

Po raz ósmy przewalił się nad Łodzią OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI. Piszę z ulgą „przewalił”, gdyż to bez wątpienia najciekawsze w naszym kraju spotkanie poetów wszystkich generacji oraz nie zawsze życzliwych ich poczynaniom krytyków literackich weszło w krwioobiegi twórczy miasta, ale też należy do najbardziej wyczerpujących imprez ŁÓDZKIEJ WIOSNY ARTYSTYCZNEJ, która w bieżącym, jubileuszowym dla Łodzi roku, miała szczególnie uroczysty charakter.

## Spór o poezję

Na szczęście Festiwal pozostał tym, czym był od swego zarania: roboczym zjazdem twórców zainteresowanych o niki rezonans społeczny poezji w naszym kraju, platformą sporów o jej kształt i miejsce w naszym życiu literackim. Krótko mówiąc, mimo rocznicowego charakteru Festiwalowi udało się uniknąć tak niezdrowej atmosfery galówki, obrady były żywe, choć oczywiście nie pozbawione pewnych braków odbijających zresztą bardziej sytuację w krytyce o poezji niż w samej sztuce wierszopisarskiej. Dlatego też, mimo całej życzliwości dla stołecznej, zapewne wysublimowanej krytyki, trzeba z całym dobrodziejstwem inwentarza potraktować wystąpienie głównego referenta Festiwalu dr Piotra Kunciewicza, wzywającego poetów do pisania piosenek.

Znaczenie ciekawego referatu przedstawił dr Henryk Pustkowski z Uniwersytetu Łódzkiego. Jego wystąpienie zatytułowane „Od języka ezopowego do pokazywania języka” przyniosło informację o rzeczywiście najnowszym zjawiskach współczesnej poezji polskiej reprezentowanych przez szkołę poznańską (Barańczak) oraz krakowską (Krynicki). Dlatego też zgoda niezrozumiała staje się sarkazm sprawozdawcy „Głosu Robotniczego”, Jerzego Kwiecińskiego, który stwierdził na łamach swojego dziennika:

„Praca Henryka Pustkowskiego zatytułowana „Od języka ezopowego do pokazywania języka” wygłoszona została w trudnym, prawdziwie ezopowym stylu. Wszelkie postacie maski i kamuflażu, wszelkie tradycyjne szyty polskiej literatury budzą gniewny sprzeciw młodszej generacji poetów i prowokują do pozapoetyckich form sprzeciwu, różnych „pokazywań języka”. W ten sposób dawny Ezop zamienia się w niesforne Dyzio. Co będzie dalej? Odpowiedź na to pytanie nie wydaje się w tym referacie klarowna”.

Szanowny redaktorze Kwieciński, różni się poglądami. Siedząc bacznie rozwój ruchu poetyckiego w Polsce już dawno nie słyszałem wypowiedzi trafiającej na równi w sedno, co wypowiedź młodego naukowca łódzkiego, Henryka Pustkowskiego. Wydaje mi się, że zauważył on najistotniejsze zjawiska poezji polskiej ostatnich sezonów, które, czego należy tylko żałować, nie znalazły dostatecznego odbicia ani reprezentacji na łódzkim festiwalu. Sprawił on zresztą wrażenie nieco kadłubowego, choćby dlatego, że w głównym referacie zabrakło podstawowych informacji o sytuacji w poezji polskiej. Felietonowy język referatu jest może miły do słuchania, ale nie wzbudza niepokojów, jakie powinny być wspólną troską poetów i publicystów,

zajmujących się społecznym rezonansem poezji.

Decyzję jury, nagrodzenia książek Swirszczynskiej i Urgacza, należałoby zaliczyć do udanych. Było coś zachęcającego w samym pomysłcie skonfrontowania wypowiedzi ideowych poetów i krytyków literackich różnych szkół, a zarazem różnych generacji. Ów drugi seminarny dzień Festiwalu zatytułowany „Kontynuacja i zmiana w poezji” w sali kutnowskiej biblioteki, zapoczątkował chyba jakiś nowy etap w łódzkich zjazdach. Zapowiedziane wówczas glossy do dyskusji, których autorami byli w tym roku: Edward Balcerzan, Jan Błoński, Andrzej Biskupski, Bohdan Drozdowski oraz Jacek Łukasiewicz, potwierdzają opinię, że rzeczywisty ruch poetycki nie może się rozwijać bez towarzyszącej mu myśli krytycznej, bez refleksji teoretycznej. Można by się oczywiście domagać wypowiedzi bardziej spontanicznych i bezpośrednich, ale zwłaszcza wypowiedzi Balcerzana dowiodła, że wyjazd uczestników łódzkiego zjazdu na ziemię łódzką był autentyczną próbą dokonania oceny sytuacji, w krytyce i poezji współczesnej. Był wprawdzie niedosyt głosów analizujących najnowsze zjawiska, ale mimo pewnych braków oceniam ową konfrontację jako bardzo owocną.

Toteż kiedy zastanawiamy się nad funkcją i miejscem Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w życiu literackim Polski musimy z tym większą uwagą przyrzeć się wysiłkom organizatorów, którzy chcą uczynić z tych zjazdów trybunę najistotniejszych sporów artystyczno-ideowych, którzy chcą, aby festiwal stał się platformą spotkań już nie tylko pokoleniowych, jak dotychczas było, ale rzeczywistą manifestacją poglądów na temat kształtu sztuki poetyckiej w naszym kraju. Prymat myśli teoretycznej nad praktyką wierszopisarską, jaki się zaznaczył w tym roku na mównicy zjazdowej dowiódł zresztą, że w przyszłości trzeba będzie listę dyskutantów rozszerzyć, dając równe szanse zarówno szkołom krytycznym, jak też demonstracjom par excellence artystycznym, aby w pełni mogły się ujawnić zasadnicze tendencje współczesnej poezji pol-

skiej. Prawdę mówiąc zabrakło mi reprezentacji najżywniejszych dziś nurtów poetyckich: neoklasycyzmu i lingwizmu, który przynajmniej u najwybitniejszych przedstawicieli odrywa się coraz bardziej od eksperymentów językowych na rzecz aktualnych treści społecznych. Toteż niezależnie od naszego stosunku do nowinkarstwa formalnego musimy popatrzyć na te próby jako na zapis niepokoju epoki.

Mnożą tu podziały, a przecież walor festiwalu łódzkiego polega między innymi na tym, że ujawniając różnice ideowe scala on jednocześnie poszukiwania różnych szkół poetyckich w Polsce. Mimo wszelkie kostiumy i maski poezja nie przestaje przecież być najbardziej osobistym głosem epoki. Rozmaitość nie jest tu przeszkodą, tylko zaletą. Nie ulega chyba wątpliwości, że łódzki festiwal przyczynia się do utrwalenia tych głosów, od początku bowiem swego istnienia miał charakter społeczny i chyba nigdy nie stanie się zjazdem profesjonalistów. Na sali obrad widzieliśmy przecież nie tylko poetów i krytyków literackich, ale także odbiorców poezji, młodzież, działaczy kulturalnych. Procesowi zbliżenia między twórcami i czytelnikami poezji służą zresztą spotkania autorskie w środowisku robotniczym, które stały się już tradycją łódzkiego festiwalu. Mamy więc tu do czynienia z podwójną konfrontacją, już nie tylko poety i szkół teoretycznych, ale z konfrontacją wrażliwości. Kto wie, czy przebieg tych spotkań z czytelnikami nie daje pełniejszej odpowiedzi na temat miejsca poezji w życiu społecznym niż najstaranniejsze przygotowane referaty?

Nie jest to oczywiście odpowiedź wyczerpująca i nie zapewni jej żaden festiwal, których zresztą w Polsce nie brak. Mamy przecież Kłodzką Wiosnę, Toruński Maj, Warszawską Jesień. Choć nie odmawiam żadnej z tych „pór roku” atrakcyjności przyznać jednak trzeba, że tegoroczny zjazd łódzki stanowił pośród nich najbardziej chyba wartościową próbę znalezienia właściwej formuły animacji ruchu poetyckiego. I kiedy przed dwoma tygodniami na tych samych łamach

## JERZY DARNAL

Marek Wawrzekiewicz konstatawał, że „przez długie lata najwybitniejsze nawet dokonania poetyckie, a jest ich w naszej poezji wcale niemało — zawisały często w próżni, w społecznej pustce”, wypowiadał tylko półprawdę. Doświadczenie tegorocznego festiwalu poezji upoważnia nas mimo wszystko do mówienia, że próżnię tę będzie można przezwyciężyć. Nie jest to proces łatwy, ani krótki. Ale wszelkie możliwe do spełnienia.

PS. Z nawyku sprawozdawczego dodajmy, że tegoroczny VIII Ogólnopolski Festiwal Poezji, w którym wzięło udział ponad stu twórców odbywał się w dniach 25 i 26 maja. Szczególnie wzruszającym akcentem były wystąpienia Anny Kamińskiej i Kazimierza Świątkiewicza, poświęcone „pamięci zmarłego w roku 1970 Stanisława Czernika. Na budynku przy ul. Mickiewicza 8, gdzie mieścił się łódzki oddział Związku Literatów Polskich odsonowano tablicę pominającą trud zmarłych pisarzy, którzy działali w Łodzi po wojnie. Podobną tablicę odsonowano na budynku, w którym mieszkał Jan Izidor Sztandyrer.

Obrady drugiego dnia toczyły się na Ziemi Łódzkiej. Oprócz autorów glossy na temat sytuacji poezji współczesnej wypowiedzi dali: Anna Swirszczynska oraz Jan Bolestaw Ożóg. Wczoraj, w scenerii gotyckiego zamku w Oporowie, uczestnicy festiwalu wysłuchali koncertu poetycko-muzycznego pod tytułem „Tryptyk”, na który złożyły się wiersze poetów polskich epoki Odrodzenia, Oświecenia oraz Romantyzmu i charakterystyczna dla tych okresów muzyka.

Warto chyba dodać, że z okazji Festiwalu „Odgłosy” wydały dla uczestników i gości festiwalowych numer specjalny, w którym zaprezentowana została twórczość poetycka łódzkiego środowiska literackiego.

## „I podjęli kroki na własną rękę...”

Lubię paradoksalne sytuacje. Ale ta, w której znalazłam się niedawno, nie sprawiła mi żadnej przyjemności. Wyobrażałam to sobie tak. Wielka aula Biblioteki Uniwersyteckiej Łódzkiej pełna będzie dostojnych osób, jeśli już nie profesorów i docentów, to przynajmniej asystentów, a także studentów oraz tych, o których pracy będzie mowa — dziennikarzy. Kogo ja tam nie spotkam — zastanawiałam się. I kogo ja tam nie spotkałam.

Nie spotkałam naukowców, poza dwójkiem. Nie spotkałam dziennikarzy — poza jednym. Było też kilkoro studentów. Kiedy weszłam do wielkiej auli Biblioteki Uniwersyteckiej Łódzkiej, pomyślałam, że to pomyłka, że przyszedłam za wcześnie. Ale nie. W auli, przy stoliku siedział dr Iwo Szlesiński, który tego wieczoru miał mówić o błędach językowych prasy łódzkiej, a parę rzędów dalej — kilka osób. Na początku było nas wszystkich — razem z prelegentem — dwanaścioro.

Dr Iwo Szlesiński podziękował zebranym, że zechcieli w ten majowy wieczór zrezygnować ze spaceru i poświęcić swój czas dla dobra nauki i w trosce o czystość języka polskiego wysłuchać jego odczytu, którym pragnie uczcić 550 rocznicę powstania

Łodzi. Lojalnie zastrzegł również, że jego praca powstała rok temu, że mówił o niej z zainteresowaniem i chciał przedstawić ją nawet w jaskini Iwa, czyli w Klubie Dziennikarza i stawił czoła tym, którzy błędy te tworzą. Ale do tej pory nic z tego nie wyszło.

Wstęp był obiecujący. Człowiek zawsze jest ciekaw, jakie błędy popełniają inni. W redakcji nieraz opowiadamy sobie anegdotki, śmiejemy się z własnych potknięć, a mój kolega, poeta zresztą, a więc człowiek, który z powołania musi być czuły na językowe chropowatości, obnosi się dumnie, że samo „Życie Warszawy” złapało kiedyś jego wielce urocze „I podjęli kroki na własną rękę...”. Tym razem nie było to jednak kołożeńskie prześmiewki, a poważne, naukowe opracowanie,

Nauka zajęła się — niestety — tylko trzema codziennymi gazetami: „Głosem Robotniczym”, „Dziennikiem Łódzkim” i „Expressem Ilustrowanym”. „Odgłosom” dała spokój i — jak na razie — nie dowiedziałam się, jakie robimy błędy. Szkoda. Ale wróćmy do tematu. Na sali było nas już piętnaścioro. Dr Iwo Szlesiński stwierdził autorytatywnie, że najmniej błędów robią dziennikarze z „GR”, drugie miejsce zajmują koledzy z „DL”, a na końcu tej listy znajduje się „Express Ilustrowany”. I dalej, że najmniej błędów można znaleźć na pierwszych stronach gazet, a najwięcej na ostatnich oraz w sprawozdaniach sportowych i sądowych. I powiedział jeszcze, że dużo błędów, przede wszystkim stylistycznych, robią publicyści. Zaskoczyło mnie to, bo oni akurat mają najwięcej czasu na napisanie artykułu, mogą go dopracować i poprawić.

Jakie robimy błędy? Tak z grubszą, wykazujemy niezrozumienie zasad ortografii, przecinki stawiamy najczęściej tam, gdzie nie trzeba, a gdzie są potrzebne — opuszczamy. Nie zawsze wiemy,

co i jak się pisze. Np. „Sprzedam harta”. Nadużywamy cudzoziemcy: ktoś napisał „Żywe” ciagniki... zamiast po prostu konie. Nadużywamy wielokropka. Nie umiemy odmieniać obcych wyrazów. Przykład: „Chuligani z Casanowej”. Nadużywamy nie najszcześliwszych neologizmów: spodnium; dżudok. Przebierzmy w opisach różnych sytuacji: „Do przerwy gra LKS wygładała wizualnie...”, „Opady spadły”, „Zwiększyć o jeden milion złotych więcej...”, „Zgubił go żółty krok i zaprzepścił życiową szansę”, bo nie strzelił gola.

Pod koniec odczytu na sali było 19 osób, razem z prelegentem oczywiście. Potem zaczęła się dyskusja. Ledwie zaczął pierwszy mówca, wstała elegancka pani, przerwała mu i słusznie stwierdziła, że takie spotkania są pożyteczne, ona się bardzo cieszy, choć jej smutno, bo mało tu studentów i dziennikarzy, a poza wszystkim ona się spieszy i przeprasza, że musi już pójść. Zostało nas więc osiemnaścioro.

W dyskusji głos zabrali 4 osoby, wliczając w to panią, która się spieszyła. Obecny na sali dziennikarz — skąd on się o tym odczycie dowiedział? — próbował bronić „bitego”, czyli prasę, wyjaśniając źródła niektórych potknięć językowych i pomstu-

jąc na żargon różnych środowisk. Dwoje nauczycieli ubolewało nad tym, co się dzieje z językiem polskim w ogóle.

Dr Iwo Szlesiński zachował się jak gentleman. Pocieszył zebranych, że łódzka prasa codzienna nie jest najgorsza, bo pod względem ilości błędów ustępuje „Życiu Warszawy”, które tak chętnie wytyka błędy innym, a samo ich wiele popełnia. „Kurierem Lubelskim” i gazetami szczecińskimi. Mniej natomiast błędów niż dziennikarze łódzcy robią dziennikarze ze Śląska. Pocieszył nas również tym, że nawet Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki robili błędy. Pierwszy ubarwiał swoją polszczyznę naleciałościami litewskimi, drugi — ukraińskimi. A poza tym — powiedział dr Iwo Szlesiński — język żyje i zmienia się, chodzi tylko o to, aby w tych zmianach zbytnio nie przesadzać i aby nowe twory językowe były zgodne z duchem współczesnej polszczyzny. Po czym wszystkim nam serdecznie podziękował, zapewniając na zakończenie, że Iwa się nie boi i chętnie — mimo wszystko — wejdzie do jego jaskini, aby podyskutować o polszczyźnie łódzkich dziennikarzy.

O czym niniejszym informuję Iwa.

BOGDA MADEJ



# KTO SIĘ BOI KAPRAŁA?

**L**eżeli pokotem wzdłuż przydrożnego rowu. Okaleczeni i pokrwawieni, twarze wykrzywione bólem, wzrok błędny, nieprzytomny, ale jeszcze pełen nadziei. Na ich widok przejeżdżający rowerzysta zachwiał się i spadł z roweru.

— Jezus, Maria, zabite! — krzyknął i czyniwszy znak krzyża, zawrócił w stronę wsi.

Po kilkunastu minutach na miejscu znalazły się: zielona sanitarka i kremowa karetka pogotowia. Lekarz wojskowy i cywilny podali sobie z uśmiechem ręce, na twarzach kontuzjowanych też pojawił się uśmiech; ów rowerzysta znów był bliski omalenia, ale skąd mógł wiedzieć, że nad rowem leżą pozorujące rannych, znakomicie zresztą, bo z pomocą wielorakich akcesoriów i innych diabelskich instrumentów, studenci Wojskowej Akademii Medycznej; wykrzywione zaś twarze i błędne oko nie tyle wynikały z bólu, co z marszowania kieszek i myśli o szybkim obiedzie...

Też bym o tym nie wiedział. Ani o zdarzeniu na poligonie, kiedy to dowódca wziął chłopaków pod swoją komendę i za liche strzelanie urządził im marsz na azymut. A deszcz lał potworny, chłopaków zmywało niemal z pagórków, sądzono, że ten marsz da im ostro w kość, a oni, zbyt niki, szli ze śmiechem i śpiewem, chociaż przemęczeni do cna, nawet papierosów nie dało się zapalić. Marsz na azymut udał się znakomicie, lecz kiedy dotarli na miejsce, musieli się wziąć do stawiania namiotów, bo te... spłynęły z wodą...

Wiele nigdy bym o tym nie wiedział, lecz wezwał mnie kapitan L. Bogusz (w stanie spoczynku zresztą) i nasrożywszy fałbany swych gestych brwi, spytał:  
— Jaki macie stopień wojskowy?  
— Szerogowiec — odpowiedział skromnie.  
— To pójście do wojska!

się ona wysokim poziomem organizacyjnym i ambitnymi celami, zwłaszcza w obliczu 15-lecia uczelni oraz jak w innych jednostkach, szerokim propagowaniem zagadnień związanych z 30-leciem powstania Ludowego Wojska Polskiego.

**W** działających na każdym roku trzech kołach SZMW prowadzi się głównie działalność organizatorską oraz ideowo-wychowawczą. W ramach comiesięcznych zebrań określa się kierunki działań i ocenia wykonanie poleceń organizacyjnych. Na terenie uczelni działacze SZMW zajmują się m. in. organizacją czasu wolnego, udzielają pomocy w nauce oraz w sprawach służbowych i instruktorskich dla kolegów z pierwszego roku studiów, współuczestniczą w ocenie wkładu pracy społecznej (poprzez odpowiednią punktację), są doradcami w sprawach awansów, troszczą się o utrzymanie dyscypliny przez kolegów, współdziałają z organizacją partijną i typują kandydatów do partii, Zarząd Uczelniany SZMW sprawuje nadzór nad pracą poszczególnych kół, wychwytuje wszystkie plusy w ich działalności, organizuje imprezy kulturalne, polityczne i sportowe, m. in. takie, jak Dzień Podchorążego, seminaria wyjazdowe czy też podróże historyczne szlakiem walk wyzwoleniczych LWP. Trzeba stwierdzić, że w WAM istnieje grupa stałych honorowych krwiodawców i że powstało tam chyba jedyne w Europie MUZEUM WOJSKOWEJ SŁUŻBY ZDROWIA.

Utrzymuje się ścisłą więź ze społeczeństwem. A więc „białe niedziele”, współpraca z młodzieżą wiejską (pow. Bełchatów) poprzez wygaszanie odczynów i organizację Szkół Zdrowia, utrzymywanie kontaktów z ZHP (podchorążowie pracują jako lekarze i instruktory na obozach), litycznym z młodzieżą robotniczą w szkoleniu ponizka, jak również w pracy studenckich kół naukowych z innych uczelni.

Niebagatelny jest również udział w czynach społecznych na rzecz miasta. Nie taki jednak, co podkreślił kapitan Wojakowski, jak błędnie odnotował „Głos Robotniczy”, z którego informacji wynikało, że 250 oficerów zasadziło w ciągu dnia 1000 drzewek, czyli cztery na jedną oficerską głowę...

O tych sprawach rozmawiałem z plutonowym podchorążym Włodzimierzem Madejem, chłopakiem z Rzeszowa, który w szkole średniej pracował jako instruktor ZHP, potem był

działaczem ZMS, a w roku 1970, po 12 miesiącach służby czynnej wstąpił na WAM. Jest obecnie na III roku studiów i piastuje funkcję członka ZU SZMW.

— Kontynuuję działalność w organizacji młodzieżowej — powiedział — bo sprawia mi to satysfakcję. Oddziałuję na kolegów, staram się im pomóc, utrzymuję stały kontakt z dowódcą, któremu przekazuję osobiste sprawy studenckie.

Przyduszałem go pytaniami na temat sukcesów w pracy społecznej, ale przez skromność unikał odpowiedzi. A przecież jest do brym studentem i, co najciekawsze, często widzi się go na Placu Zwycięstwa, gdzie spotyka się z 16-letnim chłopakiem z Bałut. Pierwsze spotkanie nie było zbyt pomyślne, chłopak, który zdążył wyćwiczyć, zaliczył już bowiem pobyt w poprawczaku, lekceważąc przyjaźń nowego opiekuna. Pieczę nad nim sprawował kiedyś z ramienia Sądu dla Nieletnich rencista w podziemnym wieku i chyba trudno im było się dogadać. Nowy kurator społeczny, a tę funkcję sprawuje wielu studentów WAM, nawiązał kontakt z chłopcem i wszystko wskazuje na to, że wyciągnie go z marginesu.

— Jemu trzeba pomóc — powiedział Madej — gdyż pochodzi z rozbitej rodziny, ojciec gdzieś w Polsce, a matka mężczy się, pracując na dwóch etatach, aby utrzymać rodzinę. Ale ja nie wkładam tyle pracy jako kurator, opiekuję się tylko pięcioma młodszymi ludźmi. Sierżant podchorąży Bonczar z V roku ma dziesięciu podopiecznych...

Kaprał Marek Tomasz z Warszawy jest trochę oniesmielony moją wizytą. Ma ładną, taką prawie dziewczęcą twarz i aż się wierzycie nie chce, że saperzy z jednostki wojskowej w której służy, w czasie pokoju wykonują prawdziwe boje wojenne. Aktualnie rozmowują tereny w powiecie opoczyńskim. Na temat tej niebezpiecznej akcji pisało już wiele w prasie.

— Cóż, powiniennem się również pochwalić naszymi osiągnięciami, choć formy pracy są wszędzie podobne. — Ale na co zwróciłby pan szczególną uwagę?

— Chyba na przyjęcie nowego rocznika. Chłopaki przychodzą zastraszani, nauczani różnymi historiami o okropnościach w wojsku, więc ja jako przewodniczący koła wraz z kolegami, staram się ich wyprowadzić z błęd. Po-

magamy w kłopotach, pragniemy, aby poculi się jak u siebie w domu. Do SZMW nie musi należeć każdy, ale ci, którzy są członkami, wpływają na nowych kolegów i szeregi organizacji powiększają się. Aktualnie 30 proc. żołnierzy należy do organizacji. A co jeszcze robimy? W związku z 30-leciem LWP bierzemy udział w niedzielach czynów społecznych, podjęliśmy akcję wpłat na NFOZ, proponujemy honorowe krwiodawstwo. Warto jeszcze dodać, że sami zbudowaliśmy Klub Żołnierski i objęliśmy patronat nad Salą Tradycji naszej jednostki.

— Żołnierz ma jakąś poważną, osobistą sprawę do załatwienia. Do kogo się wówczas zwraca?

— Do przewodniczącego koła, w tym wypadku do mnie. Jestem tylko kolegą, więc łatwiej się wygadać, choćby to były sprawy bardzo intymne. Ja sprawę przekazuję do dowódcy.

— Kłopoty z pannami też bywają?

— Jasne! W wojsku jak w celibacie, cni się za dziewczynami...

Nie wszyscy wiedzą o „Patrolach Zwycięstwa”, czyli akcji odszukiwania i odwiedzania kombatantów, prowadzonej przez koła SZMW. Eugenia Rogowska była zaskoczona, kiedy któregoś dnia odwiedził ją w mieszkaniu młody radomszczanin, odbywający obecnie służbę w Łódzkim Pułku OTK im. T. Głabskiego, kaprał Andrzej Szluga, który odnalazł panią Eugenię dzięki pomocy ZBoWiD.

— Dlaczego wybór padł właśnie na panią Rogowską?

— Ona była żołnierzem i Armii, jako kierowca dowodziła amunicją na front. Chciałem, aby nam opowiedziała o swoich przeżyciach. Kiedy następnego dnia wraz z dwoma kolegami przyniesiliśmy jej kwiaty, nie ukrywała wzruszenia, a podczas mojej trzecie wizyty — nie wstydziła się nawet łez...

— Była wzruszona pamięcią ludzi młodych, tymi kwiatami...  
— Tak, ale nie tylko. Ona powiedziała, że dzięki nam po tylu latach jakby na nowo przeżyła tamte dni. Plakała, słuchając swojej opowieści, nagrałem na taśmę magnetofonu. Mówiła, że nie mogła spać w nocy, jawiły się jej przeżyte już sceny, zwłaszcza te najpiękniejsze, kiedy przekraczała Bug: ona wtedy ukłękła, całowała ziemię, zdołała tylko garść ukryć w kieszeni, bo armia parła do przodu... Pragniemy zaprosić panią Eugenię na spotkanie, żołnierze lubią takie wieczory wspomnień.

Kaprał Szluga ma ogorzałą twarz. Złośliwi twierdzą, że w jego jednostce najczęstszym ćwiczeniem jest „ziemia — powietrze — ziemia”... z łopata. Faktem jest, że często przebywają na powietrzu, wykonując wiele pożytecznych prac dla społeczeństwa i kraju. Sporo żołnierzy poza pracą uzupełnia podstawowe wykształcenie oraz kończy kursy zawodowe organizowane przez zakłady pracy.

Służba trwa 10 miesięcy, trudno w tak krótkim czasie zorganizować zgrany aktyw w kole SZMW, ale mimo to żołnierze z OTK mogą się pochwalić sporty i osiągnięciami. Co niedziela biorą udział w wyścigach szlakiem zabytków, organizują zawody sportowe, współdziałają z młodzieżowym klubem „Karolek”. Za dobrą pracę zostali nagrodzeni przez Łódzkie Zjednoczenie Budownictwa i zakłady pracy.

Podczas rozmów z żołnierzami spotkałem się z bardzo ciekawym, godnym uwagi postulatami. Jeden z rozmówców spytał, czy podczas przepustki żołnierze muszą błagać się po parku, w najlepszym wypadku przesiedzieć dwie godziny w kinie. Jasne, że nie! Przecież oni przed pójściem do wojska należeli do organizacji młodzieżowych, podczas służby też są członkami, a poza tym łączą ich jedna, wspólna Federacja, przeto warto chyba udostępnić im wejście do robotniczych i studenckich klubów.

I to by było tyle. Na zakończenie pragnę wyznać, iż zdaję sobie sprawę, że nie wykonałem w pełni rozkazu, bo kaszy nie jadłem i wcale sobie nie postrzelałem, ale chyba poznałem na tyle życie żołnierskie, aby stwierdzić, że dzięki działalności SZMW jest ono wcale znośnie, ciekawe, pozwala rozbudzać zainteresowania i z przyjemnością spędzać czas służby. Gdyby więc znużyło mi się życie w cywilu — bandzie albo trafił poważny zgrzyt małżeński, to kto wie, czy nie kazałbym się wcielić...

O ile, oczywiście, pozwoliby na to limit wieku, bo z postrzyżynami nie byłoby raczej kłopotów...

**RYSZARD  
BINKOWSKI**

## ŁÓDŹ 2000

(Dalszy ciąg ze str. 3)

czono przez Związek Wędkarski. W grę wchodzi inna skala spraw.

Łódź leży przecież na działale wodnym, a więc w rejonie źródłowym. Ponieważ ani Łódź ani inne miasta aglomeracji nie posiadają oczyszczalni ścieków, wiele rzek ulega zanieczyszczeniu już u źródła. Rzeki i rzeczki są więc na dużych przestrzeniach zatrute. Najgorzej przedstawia się sytuacja z Bzurą, która przy ogólnej swej długości ok. 170 km — na odcinku 70 km zanieczyszczona jest bardzo silnie, a na 40 — silnie, 125-kilometrowy Ner zanieczyszczony jest bardzo silnie na 45 km, a silnie na dalszych 50 km. Jedynie 15-kilometrowy odcinek tej rzeki uważa się za czysty. Lista rzek zanieczyszczonych jest długa. Natomiast stosunkowo najczystsza jest Moszczonica, Mroga, Skierwiewka, Rawka, Widawka i Grabia.

Brak czystej wody zaostża

jeszcze fakt, że Łódź i jej zaplecze stanowi tak zwany lej depresyjny, gdyż duża ilość studziń głębokich spowodowała obniżenie się poziomu wody.

### Nowe niebezpieczeństwa

Nieprzemyślana do końca działalność gospodarcza człowieka dziś jeszcze przynosi niepożądane efekty, które ciążą na ogólnej nie najlepszej sytuacji. Oto nowo projektowane tereny przemysłowe w rejonie wsi Sasieczno u wylotu z miasta linii kolejowej do Kolaszek przylegają bezpośrednio do osiedla mieszkaniowego Janów.

Inny przykład. Tereny przemysłowe w rejonie Smulsko — Srebrna po zachodniej stronie miasta zlokalizowano na stronie dowiejtraznej wobec przeważających wiatrów zachodnich. W ten sposób zapylenie z tej strony nawiewane będzie na przyszłe osiedle mieszkaniowe.

Wadliwą wreszcie lokalizację mają tereny przemysłowe-skiadowe na Radogoszczu, usytuowane wśród terenów zielonych i domków jednorodzinnych.

Na tle tych błędów wyróżnić należy dobrze umieszczone dzielnice przemysłowe Dąbrowa i Wiskitno.

Natomiast zdecydowanie błędne z punktu widzenia ochrony środowiska jest planowanie osiedla mieszkaniowego na 40 tys. osób na Cygancie-Złotnie. Stanowiłoby ono zablokowanie strefy przewietrzania miasta, jednej z trzech, którymi świeże powietrze napływa do centrum.

### Obrona konieczna

Świadomość niebezpieczeństw, jakie wyrastają na gruncie pozytywnej, konstruktywnej w zasadzie działalności gospodarczej człowieka dojrzała w naszym mieście coraz wyraźniej. Już plan zagospodarowania przestrzen-

nego uchwalony w roku ubiegłym poświęca wiele miejsca sprawom ochrony środowiska. W Biurze Programowania i Projektowania Rozwoju Łodzi, gdzie — jak pisałem — rodzi się plan dotyczący przyszłości Łódzkiej Aglomeracji Miejskiej, również kładzie się silny akcent na to zagadnienie.

Autorzy, wychodząc z założenia, że tereny zielone w Łodzi rozrzucone są w sposób przypadkowy, postulują ich komasację i włączenie w ciąg zieleni oparte głównie o przecinające miasto doliny rzek Sokołowska, Łódka, Jasioł i Olechowska. Powierzchnia tego nowego układu powinna być dwukrotnie większa od obecnego systemu zieleni.

To dostosowanie terenów zielonych do ukształtowania pionowego obszaru miasta stworzy jakby przewody wentylacyjne służące wymianie powietrza przy wykorzystaniu kierunków najcięższej wiatrowej wiatrów. Jednocześnie powstaną trzy zespoły terenów przeznaczone dla różnych form wypoczynku w mieście.

Pierwszy z nich znajdzie się na terenie śródmieścia i skupi głównie wzdłuż rzeczek Łódka i Jasioł. Będzie on wyposażony w różnorodne urządzenia programujące formy wypoczynku czynnego. Pewnym wzorem może tu być Chorzowski Park Kultury i Wypoczynku. Podstawowym centrum tego zespołu o cha-

rakterze rozrywkowym, wielofunkcyjnym będzie Park Ludowy o powierzchni 650 ha.

Drugi zespół oprze się o istniejące Łasy Lagiewnickie i Łas Chelmski, które ulegną dolesieniu z uwagi na konieczność izolacji szczególnie szkodliwej Zgierskiej „Boruty”. Powstałe w ten sposób obszary leśne o powierzchni ok. 2000 ha stanowią będą wyznaczonymi miejscami dla biernego wypoczynku ludzian.

Wreszcie trzeci zespół będzie miał charakter kąpieliska i ośrodka sportów wodnych, co dla Łodzi tak ubogiej dotąd w możliwościach w tej mierze jest szczególnie atrakcyjne. Przewiduje się mianowicie budowę spiętrzeń na oczyszczonym w przyszłości Nerze. Duże, otwarte zbiorniki wodne powstaną w Charachwie, Gospodarzu i Kalinku. Łączna powierzchnia lustra wodnego wyniesie 320 ha.

Te ośrodki wodne muszą być, oczywiście, odpowiednio zagospodarowane i wyposażone we wszelkie potrzebne dla tej formy wypoczynku urządzenia. Trzeba im również będzie zapewnić wygodne połączenie komunikacyjne z Łodzią, zdolne w krótkim czasie przetrząść wielkie ilości ludzi.

Wymienione trzy zespoły rekreacyjne rozłożone będą na terenie miasta, lub w najbliższym jego sąsiedztwie. Korzystanie z nich będzie najdosłowniejszą formą wypoczynku ze względu na łatwość dotar-

cia do nich. Funkcję ośrodków rekreacyjnych bliskiego i dalekiego zasięgu spełniać będą zespoły leśne Grotniki, Dłutów, Niesułków, a także rejon wielkich zbiorników wodnych na Pilicy w Sulejowie i na Warcie w Jeziersku. Przewiduje się również budowę kaskady zbiorników piętrzących wodę na Grobi koło Kolumny i na Mrozie.

Nie ma jeszcze opracowanych etapów walki ze szkodliwym zapyleniem. Jest jednak rzeczą oczywistą, że prężyłby łódzki i zainteresowane resorty muszą zabrać się do tego z całą energią.

Zapewniają już natomiast jest budowa oczyszczalni ścieków w półn. zachodnim rejonie, która obsługiwać będzie Łódź, Zgierz, Aleksandrów, i Pabianice.

Zrezerwowane pokrótce kierunki działania nie wyczerpują całej złożoności problemu ochrony środowiska naturalnego Łodzi. Ważnym momentem jest to, że po raz pierwszy w dziejach zaczyna się myśleć o tym KOMPLEKSOWO. Wydaje się, że do roku 2000 ujawni się wiele jeszcze kwestii wymagających rozwiązania i że ludzkie działania na tym odcinku zostaną wzbogacone.

Na razie stawiamy pierwsze kroki.

**WŁADYSŁAW  
ORŁOWSKI**





## Belwederczyk w Paryżu

Wspomnienia, powrót w czasy u-niesień, patriotyczne manifestacje, twarze: Kościuszki, księcia Pepli, spory romantyków z klasykami, Warszawa Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Mochnackiego — słowem wielki świat geniuszy i czas niebywałego zrywu — oto w wielkim skrócie do służące do przedstawienia dzieł Ludwika Orpiszewskiego. Dziś mało kto pamięta tę barwną i niezwykłą postać, choć jego życie zostało na zawsze związane z historią powstania listopadowego, a jego działalność polityczna zajmuje poczesne miejsce wśród takich działaczy emigracyjnych jak Czartoryski, Towiański, Mochnacki czy Lelewel.

Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć czytelnikom kim był Lucjan Orpiszewski, gdyż nie przypadkowo Jadwiga Dackiewicz podjęła się napisania jego biografii.

W okresie budzenia się myśli o niepodległości Orpiszewski zajmuje się działalnością polityczną, w czasie powstania listopadowego bierze czynny udział w szturmie na Belweder, potem przemierza drogę polskich uchodźców aż do Paryża, gdzie staje się wkrótce czeladką w Hotelu Lambert. Jest więc zarówno żołnierzem jak i działaczem politycznym, pisarzem i publicystą, przyjacielem wielkich romantyków i zagorzałym rzecznikiem odrodzenia Polski.

Książka Jadwigi Dackiewicz nie najgorzej oddaje atmosferę i nastroje tamtych odległych lat przynosząc zarazem wiele dziś zapomnianych szczegółów dotyczących zarówno samego bohatera jak i wydarzeń, których był świadkiem i czynnym uczestnikiem.

Jadwiga Dackiewicz: Belwederczyk w Paryżu. Wyd. Łódź, 1973 r. Stron 186. Cena 12 zł.

## OPOWIADANIA Z POGRANICZA

Bojownik o polskość Warmii i Mazur, działacz ludowy, dziennikarz, poeta, więzień Pawiaka i pedagog, jest Teofil Ruczyński żywą kroniką nie tak odległej przeszłości historii ziem lubawskiej i ostródzkiej, którym poświęcił swoją ostatnią książkę pt.: „Opowiadania z pogranicza”. Słowo „pogranicze” ma tu znaczenie dosłowne i jednocześnie symboliczne. Właśnie pomiędzy tymi ziemiami, lubawską i ostródzką wytyczono niegdyś granicę dzielącą zamieszkałą tam ludność polską na Polaków i na Niemców. Nawet pięć lat po 1920 roku nie przyniosł zmiany, pomimo wyraźnej przewagi głoszących Polaków.

Książka Teofila Ruczyńskiego jest opowieścią — dokumentem z historii tych ziem, jest niezwykłą kroniką, w której zostały zarejestrowane krzywdy, gwałty, poniżenia oraz heroiczne zrywy narodu przeciwko niemieckiej administracji, szowinizmowi i nacjonalizmowi. Wielka znajomość realiów, podan ludowych, kultury, zwyczajów, obrzędów, a przy tym rzeczowość i prostota w ujmowaniu tematu, czynią z tej książki niezwykle ciekawy przyczynek do dziejów ziem warmińsko-mazurskiej.

Opowiedziana w tej książce historia obejmuje dobrych kilka wieków, od XIII po dzień dzisiejszy. Uczestniczą w niej między innymi postacie Mikołaja Kopernika, biskupów Waczenrodego i Gisego, oraz Celestyna Mrongowiusza, Gustawa Gisiwiusza, Michała Kajki, Przesłóska tych ziem od niepamiętnych czasów związanych z Polską, nosi ślady niezwykle żywych wałk narodu o powrót w granice Rzeczypospolitej. A „Opowiadania z pogranicza” są właśnie dokumentem tych zmagani.

Teofil Ruczyński: Opowiadania z pogranicza. Wyd. Łódź, 1973 r. Stron. 358. Cena 23 zł.

## ŚWIĘTOKRZYSKIE SZLAKI LITERACKIE

W dość obszernej monografii popartej długimi studiami nad tekstami źródłowymi, przypomniał nam Stanisław Mijas związki pisarzy polskich z kielecczyną. Ta „książka powstała z potrzeby serca i z zamówienia społecznego” — napisał autor we wstępie do „Świętokrzyskich szlaków literackich”. Po skończonej lekturze wyznanie to zostaje w pełni usprawiedliwione. Pasja pisarska oraz uporządkowanie niezmiernie obfitego materiału dotyczącego najwybitniejszych przedstawicieli czystej literatury, przyniosły w sumie nader ciekawe opracowanie owych ścieżek i szlaków, którym wędrowali Rej, Kochanowski, Sienkiewicz, Dygasinski, Prus i Żeromski.

Nie jest to wszakże monografia w sensie akademickim, ani nie jest to „życia opisane”, lecz dosyć krótkie omówienie, poparte fragmentami z książek pisarzy, fotografiami, a nawet odręcznymi mapkami obrazującymi wędrowki zarówno samych autorów jak i bohaterów ich książek. Ziemia kielecka prawie od początków naszego piśmiennictwa była natchnieniem dla piszących i stanowiła ich wielkie „urzędzenie”. Nie jest tu miejsce dla wyliczania dzieł, w których złożono hold jej pięknu i jej niezwykłemu urokowi.

Polecając czytelnikom „Świętokrzyskie szlaki literackie” wierzymy, że książka ta stanie się uzupełnieniem ich dotychczasowej wiedzy z zakresu samej literatury oraz będzie zachętą do ponownego odczytania Żeromskiego, czy zapomnianego dziś zupełnie, poety Kazimierza Laskowskiego.

Stanisław Mijas: Świętokrzyskie szlaki literackie. Wyd. Łódź, 1973 r. Stron. 276. Cena 28 zł.

## MICKIEWICZA WIELKOPOLSKIE DROGI

Na temat życia Adama Mickiewicza napisano tak wiele, że każda nowa pozycja budzi zrozumiałe zaciekawienie, gdyż wydaje się nieprawdopodobieństwem napisać cokolwiek nowego na ten temat. Jednak okazuje się, że można. I to jeszcze z jakim rozmachem, z jaką drobiazgowością, z wielkimiś i erudycyjną! Ograniczenie się zaś do „spraw wielkopolskich pana Adama” pozwala na świadomą koncentrację tematu i do jego lepszego pojęcia.

Jak większość prac biograficznych, także i ta została poprzedzona przez autora długimi studiami nad materiałem źródłowym co znajduje swój wyraz w nader bogato przytoczonej bibliografii. Jest to więc w pełnym tego słowa znaczeniu solidna praca naukowa napisana językiem prostym, komunikatywnym, co jest niezwykle rzadkością wśród ludzi nauki.

Jarosław Maciejewski nie ograniczył się jedynie do zebrania lub potwierdzenia pewnych faktów z życia Mickiewicza, lecz szeroko ukazał to geopolityczne, obyczajowe i kulturowe epoki romantyzmu polskiego na ziemi wielkopolskiej. Praca Maciejewskiego roi się od fragmentów pamiętników, od wstępów epistolarnych, od artykułów z gazet itp. Obok wspomnień lirycznych znajdujemy zabawne scenki rodzajowe, obok patriotycznych materiałów — świetne anegdoty. Lecz wszystko to służy, że poważne naukowe dzieło czyta się nieczym zajmującą powieść. Dlatego też książka „Mickiewicza wielkopolskie drogi” stanie się na pewno nie tylko pomocnym podręcznikiem dla studentów filologii polskiej, lecz z pożytkiem może służyć każdemu, kto daje pierwszeństwo lekturze ciekawej, a pouczającej.

E. I.

Jarosław Maciejewski: Mickiewicza wielkopolskie drogi. Wyd. Poznańskie, 1972 r. Stron 566. Cena 90 zł.



(4)

Tłumaczyła: URSZULA ŁADA-ZABŁOCKA

W tym miejscu, gdzie siedziałam, było mrowisko! Tak, akurat właśnie tu! Już nigdy więcej nie będę mogła przyjść do parku. Nigdy przecież nie zdołam znaleźć w trawie wszystkich koralików. Nie uda mi się skompletować nawet jednego sznurka koralu. Ani jednego! To było strasznie smutne — więcej niż smutne. Czulałam się wykończona, tym razem to nie mleko się rozlało, ale rozsypany koraliki — i to raz na zawsze.

Nie było sensu mówić „nie tu płacz nie pomoże!” Siedziałam płacząc cicho.

Kiedy Gordon mnie spytał: — Czy mógłbym w czymś pomóc? — przestałam płakać. Zakryłam twarz rękami i cała zamieniłam się w słuch.

— Czy coś się pani stało? — pytał dalej. Później dowiedziałam się, że Gordon siedział na ławce, kiedy przyszedł z dziadkiem pod drzewo. Obserwował mnie przeszło dwie godziny. Po prostu obserwował.

Jak to źle, kiedy człowiek nie może widzieć! On widział, jak się bawiłam moim debowym liściem, jak przysłuchiwałam się dźwiękom wokół siebie, jak zabrałam się do pracy i przewróciłam pudełko — widział, jak płakałam!

Głos Gordona był tak głęboki, że chociaż dochodził gdzieś z dala, zdawało się, że dobiegał z wnętrza mojego serca. Myślałam nawet, że to drzewo przemawia: „Czy — coś — się — pani — stało?”

Odjęłam ręce od twarzy. Wiedziałam, że właściciel tego głosu nie dba o moją zszpeconą twarz. Wiedziałam, że powinienem odpowiedzieć, tak jakby należało odpowiedzieć obcemu człowiekowi.

— Dziękuję. Nic złego się nie stało.”

Tymczasem odparłam bez namysłu: — Tak. Stało się coś bardzo złego. Rozsypałam pudełko koralików. Jestem niewidoma. Nie mogę nic robić, jeżeli nie odnajdę wszystkich koralików.

Tak też myślałam, że pani musi być niewidoma — odparł Gordon. — Obserwowałam panią. A teraz niechże popatrz — koraliki, koraliki, ach, naturalnie. Tych małych diablaków jest tu mnóstwo.

Usłyszałam, jak spadają do pudełka.

Wprost trudno było uwierzyć w takie szczęście.

Bardzo panu dziękuję — powiedziałam z głębi serca. Po raz pierwszy usłyszałam śmiech Gordona. Nigdy nie słyszałam, żeby się ktoś tak śmiał — ciepło, kojąco.

Pani jest przeziła — powiedział. — Otóż i po wszystkim. Każdy koraliczek znajduje się już w pudełku, szanowna pani. A teraz co dalej?

— Teraz? — zdziwiłam się.

— Tak. Co pani robi z tymi koralikami?

Wybiegał, ale i potem znów wysypywał do pudełka... pac, pac, pac!

— Segreguję i nawlekam na to — pokazałam mu nici.

— Czy to zajmuje dużo czasu? Jaka pani mądra. Czy myśli pani kiedy?

— Mądra! Nawet głupiasz nie mógłby się pomylić.

— A więc łatwo może to robić nawet niewidoma osoba, prawda?

Gordon mówił „niewidoma” w taki sposób, jakby to było całkiem naturalne.

— Oczywiście — powiedziałam i roześmiałam się. Tak mi się ten mój śmiech spodobał, że znów się zaśmiałam.

— Czy często to pani przychodzi? — spytał. — Ja jestem tu co dzień. Nigdy dotąd pani nie widziałam.

— Przyszedłam dzisiaj po raz pierwszy. Dlatego mnie pan nie widział. — Po czym spytałam go: — Dlaczego przyszedł pan tutaj każdego dnia, sir? — dodałam grzecznie.

— Bo w nocy pracuję. W drukarni. Zwykle przychodzę o wiele później. Ale dzisiaj rano miałem przecucie. To ono kazało mi pójść do parku wczesniej. Byłem niemal zły, bo musiałem wcześniej wstać i gnać do parku. Teraz wiem, że byłem potrzebny do znalezienia koralików. Czy nie wspomniałem się układa?

Dużo czasu zabrało mu wypowiedzenie tego wszystkiego, ponieważ każde słowo wymawiał czysto i zrozumiale; każde słowo miało początek i koniec, nie tak jak u Rose-ann i dziadka, i u mnie. Mówiliśmy tak szybko, że jedno słowo zachodziło na drugie.

— A poza tym — ciągnął dalej — nie musi pani do mnie mówić „sir”. Nazywam się Gordon Ralfe, mam sześć stóp wzrostu, trzydzieści lat, służyłem w Marynarce i...

— Zechce mi pan wybaczyć. Ale ja nie nawykłam do poznawania wielu ludzi. Miło mi pana poznać. Powiedział mi pan od razu tyle rzeczy. Mogłabym wiedzieć, czy sześć stóp to dużo wyżej ode mnie?

— A ile pani ma wzrostu? Hmm! Powiedziałbym, że jakieś pięć stóp i chyba cztery cale, to znaczy, że ja byłbym wyższy około osiem cali. Proszę, jakie następne pytanie?

Nikt do tej pory nie pozwolił mi zadawać pytań. Nie do wiary! Pozwolić mi i jeszcze prosić, żebym pytała. Zamyśliłam się głęboko. Najważniejsza sprawa dotyczyła mojej twarzy, czy jest rzeczywiście taka szkaradna, toteż spytałam:

— Czy mógłby pan powiedzieć mi, czy moja twarz... wiem, że mam zszpeconą, wiem o tym, proszę pana, ale czy jest, czy robi na panu... — Szkoda, że go zapytałam o siebie. Pewnie czuł się zawiedziony, że nie pytam o niego, bo wyraźnie nie miał ochoty mi odpowiedzieć. Wreszcie odezwał się:

— Zszpecona? Pani twarz! Zszpecona? Gdyby pani nosiła ciemne okulary, gdyby pani tylko nosiła, byłaby pani najładniejszą dziewczyną na świecie. Wiem, bo objechałem cały świat.

— Cały świat? — Aż mi dech zaparło. Nie mogłam wprost uwierzyć.

Gordon znów się roześmiał.

— Widzę, że trzeba się mieć na baczności w rozmowie z panią. Niezupełnie cały świat, ale w tych krajach, gdzie byłem, na pewno widziałem, jak już mówiłem, kiedy mi tak nagle przerwało — czułam, że się uśmiecha — mnóstwo ładnych dziewcząt. A pani w ciemnych okularach byłaby jedną z nich.

— Jakim sposobem? — Nie mogłam mu uwierzyć. Chciałam, ale nie mogłam. Słoneczko miały być ładne? Zawsze tak lubiłam to słowo!

— Jakim sposobem? Otóż będę pani lustrem. A więc, niechże się przyjrzy. Jasnozielone włosy. Jasna cera. Nosek jak u aniołka. Oczywiście twarz ma kształt serduszka.

— Naprawdę? — Nie chciałam, żeby się czuł zawiedziony, gdyby mi powiedziała, że nie mam pojęcia, jak wygląda nos aniołka i że kolor jasnozielony nie mi nie mówi. Ale brzmiało to bardzo miło, w ogóle wszystko, co o mnie mówił, było bardzo miłe.

— Z całą pewnością — powiedział. — To bardzo niezwykle.

— Ale pan nie powiedział mi... — zaczęłam. Wiedział, o co mi chodzi.

— O pani oczach? Dojdę i do tego. Ale to nie takie ważne.

— Nieważne?

— Oczywiście! Jak to się stało?

Opowiedziałam mu o Harrym. Opowiedziałam o Rose-ann i o kwasie, który był przeznaczony dla Harry'ego, a przez przypadek oblał mnie.

— To źle. Ale mogło być o wiele gorzej. Kwas przepalił pani oczy. Powieki są pozbawione rzęs, a wokół oczu, na gładkiej skórze ma pani wypalone kilka dziurek. Są jednak nieznaczne. Ciemne szkła by wszystko załatwiły.

— Załatwiły? — O czym on mówi?

— Musi je pani natychmiast mieć. Ja również noszę okulary i miliony innych ludzi je nosi.

— Po co? Dlaczego?

— Żeby słońce nie raziło w oczy. Albo żeby się ukryć. Nie ma pani pojęcia, ile ludzi nosi okulary, tylko dlatego, żeby się za nimi skryć.

— A pan?

— Ja też należę do tych, co się ukrywają. Noszę je, bo nie chcę pokazywać ludziom swoich prawdziwych uczuć. I jeszcze dlatego, ponieważ niektórzy ludzie wyglądają przez nie przyjemniej.

— Czemu nie chce pan, żeby ludzie znali pana prawdziwe uczucia, proszę pana?

— Ponieważ moje uczucia mogłyby czasem ludzi rozczłowieczyć. A kiedy ludzie się rozczłowieczą, wynikają z tego różne kłopoty.

Och, o tym to ja doskonale wiedziałam.

Tak jak wtedy Harry.

— Widzi pani teraz, co miałem na myśli, mówiąc o ciemnych okularach? — spytał.

— Nie — odparłam. — Nie widzę. Ale rozumiem — zażartowała. Roześmiałam się. Nigdy przedtem tak dużo się nie śmiałam.

— Nie dosyć, że ma pani twarz w kształcie serduszka, ale jest jeszcze do tego ogromnie miła dziewczyna. Bardzo panią lubię. A jak kogoś lubię, chciałbym do niego mówić po imieniu.

— Usiadł koło mnie. Słyszałam, jak jego buty skrzypnęły na trawie.

— Nazywam się Sleana — powiedziałam. — Sleana D'arcey.

Milczał. Potem odezwał się:

— Sleana! Jakie skromne imię. Jesteś pewna, że masz na imię Sleana?

Zażalowałam, że mu powiedziałam, jak się nazywam. Mogłam powiedzieć, że mam na imię Angela, Ingrid — każde imię, byle tylko nie Sleana.

— Tak się nazywam. — O rety! Szkoda, że mu powiedziałam.

— Sleana! To straszne! A jak je piszesz?

— S—e—l—i—n—a — wymówiłam literka po literce.

— Selina! Ależ to piękne imię! Czemu je zniekształcała? Czemu z takiego pięknego imienia zrobiłaś takie nieładne?

Nie rób tego więcej. No, a teraz powtórzmy wszystko od początku. Ja ciebie spytałem, a ty mi odpowiedź. Wiesz, jak masz mi odpowiedzieć, Zaczynamy. Jak pani ma na imię, piękna pani? — spytał Gordon.

— Nazywam się... Selina. — Przyjemnie zabrzmiało.

— Jak się masz, Selino? — ciągnął Gordon. — Ale ty powinnaś była odpowiedzieć: „Nazywam się Selina, Gordonie”. Czy nie podoba ci się moje imię?

— Podoba. Podoba mi się, ma takie głębokie brzmienie. Lubie je.

— To wypowiedź jest głośno.

— Gordon — szepnął.

— Świetnie — uśmiechnął się. — No, a teraz, skoro wiemy, jak się nazywamy, ile mamy wzrostu i tak dalej, z pewnością pozwolisz mi pomóc sobie przy nawlekaniu koralu. Mogę je poseregować, to będziesz miała gotowe do nawlekania. No, co ty na to?

Koraliki! Jezu! Powietrze w parku zupełnie mnie odurzyło — tak się upiłam powietrzem, jak diabeł wódką.

Wiedziałam, że to głupio tak postępować. Powinnam była powiedzieć: „Proszę się tym nie kłopotać.” A zamiast tego wyrwało mi się: — Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Kiedy zaczynamy?

— Natychmiast — roześmiał się Gordon. — Teraz zaraz.

To była świetna zabawa. Nigdy dotychczas tak się nie bawiłam. Ani na sekundę nie przestawaliśmy rozmawiać. Kończyliśmy nawlekać jeden sznurek i zaraz zaczynaliśmy następny.

Gordon opowiadał o czasach, kiedy służył w Japonii; o tym, jak przy swoim wysokim wzroście i lekkość wchodził do mieszkanka urządzonego w stylu japońskim, zawsze uderzał w futrynę drzwi. Śmiałam się, bo opowiadał to bardzo zabawnie.



— Buch! I znów to samo! Buch! O rany! Byłem cały czarno-siny. Okrutna z ciebie dziewczyna, żeby się tak ze mną śmiać.

— Och, Gordon, nie! — wykrzyknęłam. — Tylko nie czarno-siny! Siny albo sino-czerwony, byle nie czarno. Nie śmiałam się już.

— Dlaczego nie?

Opowiedziałam mu o Pearl.

A potem o sercu Rose-ann i o tym, dlaczego tak nienawidzę wszystkiego, co czarne.

— Proszę, mów tylko o kolorze granatowym lub czerwono-granatowym.

— A więc, po prostu Gordon walił głową w drzwi, skutkiem czego miał guzy, a to z kolei wywoływało lawinę bluźnierstw i nieparlamentarnych słów — zakończył Gordon. I co będziemy teraz robić?

— Teraz robili? — powtórzyłam zdumiona.

— Tak, teraz, kiedyś już wykonali dzienną normę nawleknięcia koralików...

(Dalszy ciąg nastąpi)



# NAUKA I GASTRONOMIA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

postępu we wspomnianych dziedzinach gospodarki w skali kraju, ale także w skali regionalnej. Ponadto dzięki koncentracji badań empirycznych na tym terenie przyczyniamy się do lepszego poznania tego terenu oraz dostarczamy przesłanek dla jego rozwoju.

Z pozostałych badań wymienić można studia, dotyczące handlu targowiskowego i rynku produktów ogrodnich w rejonie łódzkim oraz prace dotyczące handlu w Łodzi i miastach województwa łódzkiego.

— Nasza gastronomia już od lat znajduje się pod nieustannym ostrzałem krytyki, a mimo to poprawa w tej dziedzinie postępuje niezwykle powoli. Dlaczego?

— Problem jest bardzo złożony, trudno jest na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. Tak pod względem ilościowym, jak i jakościowym poziom usług gastronomicznych w Polsce znajduje się na jednym z ostatnich miejsc w świecie.

Ponadto, różnice między Polską a innymi krajami ulegają pogłębieniu, a także zwiększają się rozbieżności między potrzebami ludności a stopniem ich zaspokajania. Sytuacja w regionie łódzkim jest szczególnie niekorzystna.

Jak już wspomnieliśmy, w naszych badaniach zajmujemy się różnymi aspektami rynku usług gastronomicznych. Wydaje mi się, że podstawowe znaczenie posiadają badania, dotyczące postępu organizacyjnego i technicznego w gastronomii w powiązaniu z analizą skutków systemu zarządzania oraz wprowadzanych ostatnio reform w tej dziedzinie. Obszerne studia ankietowe i wywiady przeprowadzone w różnych miastach Polski wykazały, że tylko znaczne zacofanie techniczne gastronomii, a równocześnie znaczne marnotrawstwo zaangażowanego w niej kapitału. Wynika to głównie z faktu niedostosowania rozmiaru środków trwałych i zatrudnienia do warunków funkcjonowania danego zakładu gastronomicznego. Błędna polityka integracji, w wyniku której powstają duże przedsiębiorstwa znajdujące się wbrew koniomat w pozycji monopolistycznej, stwa-

rza z jednej strony barierę dla postępu technicznego, z drugiej — ogranicza zdolność dostosowawczą przedsiębiorstw do sytuacji rynkowej.

Studia dotyczące postępu organizacyjnego, ekonomicznego i technicznego w gastronomii zakończyliśmy najprawdopodobniej w przyszłym roku. Pozwoli to na wyciągnięcie odpowiednich wniosków i szybkie, konstruktywne działania, które parę miesięcy temu odbyło się w Łodzi.

— Badania dotyczą nie tylko poprawy funkcjonowania gastronomii, ale także jej kierunków i perspektyw rozwoju?

— Tak. Prowadzimy i takie badania. Fragment tak ukie-  
runkowanych prac zakończyliśmy przed dwoma laty. Przeprowadziliśmy wtedy badania ankietowe wśród pracowników zakładów gastronomicznych oraz wśród użytkowników tych zakładów w 24 turystycznych rejonach Polski.

Wykazały one przerażający stan tych usług w kraju oraz niesłychaną nieudolność w ich organizowaniu. Od tego czasu nastąpiła pewna poprawa — miejmy nadzieję, że nastąpią i dalsze zmiany. Chciałbym jeszcze dodać, że prowadzimy także badania odnośnie kryteriów i zasad rozmieszczenia usług gastronomicznych oraz kierunków rozwoju sieci tych usług. Obserwacje empiryczne realizowane są w dobranych rejonach na terenie całego kraju. Wspomnę też, że jestem w trakcie przygotowywania książki, która będzie próbą nakreślenia kierunków rozwoju

ju i usprawnienia pracy w gastronomii w oparciu o doświadczenia krajowe i zagraniczne.

Wskazałem tutaj na niektóre tylko badania i prace w zakresie obsługi handlowej ludności od strony gastronomii. Po zakończeniu wszystkich prac, dotyczących tego rodzaju usług, będziemy mogli przysiąc do szerszej syntezy. Będzie ona obejmować ocenę dotychczasowego rozwoju i stanu gastronomii w Polsce, zasady, metody oraz instrumenty polityki gospodarczej i społecznej w odniesieniu do rynku usług gastronomicznych, przedsiębiorstwa i zakładu, kierunki postępu organizacyjno-technicznego w gastronomii, a wreszcie program jej rozwoju.

— Powiedział Pan Profesor o badaniu zagadnień żywienia przyzwoitego. Sprawa bardzo istotna dla tak wielkiego miasta przemysłowego. Jakim jest Łódź. Czy zechciałby Pan powiedzieć, w jakich kierunkach idą prace badawcze w tym zakresie?

— Są to prace kompleksowe. Dążymy do zbadania tego żywienia od strony struktury odżywiania, organizacji oraz efektywności ekonomicznej i społecznej. Niestety tutaj również wyniki badań nie stowią pochwały dla dotychczasowych rozwiązań. Dlatego też przywiązujemy dużą wagę do postulatów, jakie będą postawione na podstawie tych analiz.

— Zaopatrzenie ludności naszego miasta w warzywa i owoce wiąże się z handlem produktami ogrodnymi, który wymieniał Pan Profesor, jako jeden z tematów prac badawczych Instytutu. Czy te badania są już zakończone?

— Tak. Badania dotyczące handlu targowiskowego — a rynek produktów ogrodnich jest częścią tego handlu — zakończyliśmy niedawno.

Prowadziliśmy je w dwóch dużych miastach w Polsce: w Łodzi i w Poznaniu oraz w kilkunastu mniejszych. Łódź nie jest miastem najlepiej zaopatrzonym w warzywa i owoce. U źródeł tego faktu leży ogólny niedorozwój w tym zakresie oraz braki organizacyjne. A rola handlu targowiskowego jest i duża, i pozytywna. Obok ważnej funkcji, jaką spełnia przy zaopatrywaniu ludności wielkich miast w produkty ogrodnicze, odgrywa on także główną rolę w kształtowaniu zaplecza produkcyjnego warzyw i owoców. Proszę tylko wziąć pod uwagę, iż w okresie sezonu przeszło 60

procent zaopatrzenia ludności dużych miast w produkty ogrodnicze dokonuje się za pośrednictwem handlu targowiskowego i pokrewnych mu form handlu.

Na podstawie dokonanych badań opracowaliśmy projekt rozwoju handlu targowiskowego w Łodzi. Dzięki bardzo szeroko zakrojonym badaniom, w ramach handlu targowiskowego, poddaliśmy także obserwacji handel uliczny oraz sondowaliśmy opinie konsumentów i producentów. Między innymi ustaliliśmy możliwości postępowania konsumentów w dziedzinie zakupu oraz czynniki, które wpływają na decyzje produkcyjne rolników. Okazuje się na przykład, że ludzie kupują na targowiskach i w handlu ulicznym nie tylko dlatego, że znajdują tam warzywa i owoce, lecz również dlatego, że ich jakość jest lepsza, niż w handlu uspołecznionym. Dla kupujących nie ma również większego znaczenia fakt, że nierzadko ceny na targowiskach są wyższe. Została już ukończona monografia dotycząca rynku produktów ogrodnich w rejonie łódzkim. Daje ona pewne przesłanki dla rozwoju produkcji ogrodniczej z punktu widzenia potrzeb Łodzi, polityki handlowej na tym terenie oraz wielu rozwiązań organizacyjnych i technicznych tej dziedziny obrotu towarowego. Studium to opiera się na obszernych badaniach empirycznych, między innymi zankietyzowano 2 tysiące gospodarstw domowych w Łodzi.

— Prace, które prowadzi Instytut, są bardzo istotne z punktu widzenia interesów naszego miasta, handel bowiem aktywizuje życie gospodarcze i społeczne. Wnioski płynące z tego mnóstwa tematów naukowo-badawczych oraz wyraźnie ukierunkowane, racjonalne działania wywarą z pewnością wpływ na ekonomiczny rozwój Łodzi.

Taki przyszłością nam cel. Wkrótce będą bronić dwie prace doktorskie, dotyczące problematyki łódzkiej. Jedną z nich obejmuje problem handlu i usług w Łodzi, jako czynnika aktywizacji społeczno-gospodarczej. Praca ma na celu, między innymi zaproponowanie kierunków zaktualizowania Łodzi w dziedzinie rozwoju handlu i dziedzin pokrewnych handlowi. Wydaje się, iż będzie ona nader pożyteczna, gdyż uwzględni handel i usługi w układzie 81 rejonów Łodzi. Na ten temat opublikowaliśmy już zresztą kilka prac. Zagadnienie loka-

lizacji handlu i usług ma ogromne znaczenie gospodarcze. Błędy w tym zakresie powodują miliardowe straty, trudne do wyceny. Dotyczy to w takim samym stopniu rozmieszczenia punktów handlu i usług na wsi, co dodatkowo wiąże się z ważnym elementem tego zagadnienia — rozwojem turystyki.

— Konsekwencje błędów, które spowodowały inercję ekonomiczną w małych miastach, są bardziej drastyczne, niż w dużych. Widać to wyraźnie w niewielkich ośrodkach.

— A właśnie. Jest to problem niezwykle wagi, problem upadku i degradacji ekonomicznej i społecznej małych miast. Te miasta, które spełniały istotne funkcje kulturowe, społeczne i ekonomiczne względem swego zaplecza, utraciły je w dużym stopniu w okresie pierwszych dziesięciu lat po wojnie. Obecnie koncentracja pewnych usług, handlu, energiczne dążenie do rozwoju turystyki, słowem wszystko to, co aktywizuje życie gospodarcze, stwarza dziś szansę tym miastom.

— Jaką szansę mają miasta naszego województwa?

— No to pytanie odpowiada prace badawcze, dotyczące roli handlu, jako czynnika aktywizacji małych miast województwa łódzkiego. Zakończyliśmy je niedawno.

Wspomnę przy sposobności, że prowadzimy jeszcze badania, które mają odpowiedzieć na pytanie, jaki wpływ na sferę szeroko pojętych warunków bytowych ludności wywiera duża inwestycja przemysłowa. Przeprowadziliśmy je w Koninie, następnie w Kole, w Turku, w Łęczycy, Lubiniu, w Tarnobrzegu i Puławach. Kontynuujemy je we Włocławku.

— Panie Profesorze, na przestrzeni ostatnich paru lat, w wyniku energicznego działania rządu, następuje w handlu widoczna, ale bardzo wolna poprawa. Co hamuje tempo tych przemian?

— Sprawa nie jest łatwa. Ostatnio podjąłem prace, związane z zagadnieniem usprawnienia funkcjonowania przedsiębiorstw handlu i obsługi handlowej ludności. W Instytucie wykonujemy wiele ekspertyz i opracowujemy programy wprowadzania do przedsiębiorstw tak zwanego marketingu. Idea marketingu polega na innym spojrzeniu na odbiorcę. Zaczęliśmy wreszcie dostrzegać, że do preferencji konsumenta trzeba się nie tylko dostosowy-

wać, lecz także je kształtować i wyprzedzać. Istnieje wiele barier i przeszkód, wynikających z dotychczasowego systemu zarządzania handlem. Widzę wielki społeczny sens w prowadzeniu badań w tej dziedzinie i opracowaniu nowoczesnej koncepcji zarządzania handlem. Jestem właśnie w trakcie przygotowywania rozprawy, dotyczącej, z grubsza mówiąc, warunków, możliwości i sposobów wykorzystania idei marketingu w gospodarce socjalistycznej. Nie tylko, oczywiście, w handlu, lecz głównie w przemyśle. Interesuje nas problematyka marketingu i robimy na ten temat pewne badania w skali międzynarodowej.

Nie ulega wątpliwości, że na przestrzeni ostatnich paru lat usunęliśmy z naszej gospodarki wiele błędów. Dalszy postęp na tej drodze wymaga po prostu rzetelnej wiedzy.

— Nie pomylił się chyba, jeśli powiem, że wszystkie, lub prawie wszystkie, prace naukowo-badawcze Instytutu, którymi Pan kieruje, mają na celu poprawne sterowanie procesami gospodarczymi.

— Oczywiście.

— Ale trudno to sobie wyobrazić bez udziału nowoczesnych systemów informacji.

— Wprowadzamy takie systemy. Rząd powziął decyzję w tej sprawie. Program jest oczywiście obliczony na wiele lat. Powstały już zespoły, które, w ramach wężowego programu systemów takiej informacji, opracowują założenia badań w tej dziedzinie. Taki zespół powołano również w Łodzi i zlecono mu opracowanie koncepcji systemu informacji „Merkury”. Jest to właściwie cały zespół systemów informacyjnych, które mają dostarczać dane, umożliwiające sterowanie i programowanie procesów rynku i społecznych, z uwzględnieniem wszystkich uwarunkowań społeczno-ekonomicznych. Oczywiście nie tylko z punktu widzenia władz centralnych, lecz także z punktu widzenia władz regionalnych. W ubiegłym roku opracowaliśmy już wstępne koncepcje zespołu „Merkury”, a teraz powołujemy grupy bardzo wąskich specjalności, które zaproponują szczegółowe rozwiązania.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:

WŁODZIMIERZ  
STOKOWSKI

# FALSZERZE

(Dalszy ciąg ze str. 1)

larach czy rodzimych złotówkach.

Dlatego też fałszerstwo znaczków pocztowych jest również stare jak same znaczki. Odkąd zadrukowany kawałek papieru został mocą umowy uznany za równowartość pieniądza — rozpoczęły się próby fałszerstwa. Jak wiadomo znaczki pocztowe wprowadzono do obiegu po raz pierwszy w maju 1840 roku w Wielkiej Brytanii. Tylko niespełna 20 lat nie budził pokus, ale już w roku 1862 wydano w Brukseli broszurkę poświęconą fałszerstwu znaczków. Wniosek — pierwsze fałszyfikaty wykonano widać gdzieś w końcu lat pięćdziesiątych i musiała szybko rosnąć ich liczba, skoro publikowano na ten temat książki.

Pierwszy wielki fałszerz-artysta pojawił się gdzieś w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku. Wówczas to rynek fi-

latelistyczny zarzucony został fałszyfikatami najstarszych i najcenniejszych znaczków.

Twórcą ich był niejaki L. H. Mercier, który w 1891 r. założył w Szwajcarii małą drukarnię i rozpoczął legalną produkcję rozmaitych fałszyfikatów. Pragnąc pozostawać w zgodzie z prawem, Mercier określał swoje wyroby jako faksimile (podobizny), niekiedy nawet opatrywał takim nadrukiem odwrotną stronę produkowanych przez siebie znaczków. Ale tylko „niekiedy”, absolutnie bowiem większość jego wyrobów takich nadruków nie zawierała, a wielu ówczesnych filatelistów nabywało znaczki w dobrej wierze, nie podejrzewając nawet, iż zaplinali swe zbiory fałszyfikatami. Chociaż Mercier nie był dobrym znawcą w dziedzinie filatelistyki i nie zagłębiał się w jej arkania, jego wytwórnia kwitła, a interesy szły znakomicie. Przyczyna tego było przede wszystkim słabe upowszechnienie wiedzy filatelistycznej

wśród ówczesnych zbieraczy, brak szerokiej informacji o tego typu fałszyfikatach. Zresztą — jak to zwykle bywa — liczone na naiwnych, a rachuby te nie zawiodły.

Wytwórnia Merciera nabrała pełnego rozmachu z chwilą przejęcia jej na własność przez Fourniera, człowieka o wielkiej fantazji i niezwyklej przedsiębiorczości. W odróżnieniu od poprzedniego właściciela drukarni Fournier był dobrym znawcą filatelistyki. Wydawał własne czasopismo filatelistyczne, w którym znaleźć można było oferty jego znaczków. Lansował nawet swoistą teorię uzasadniającą ich potrzebę! Otóż w owym czasie bardzo modne były albumy ze znaczkami wszystkich ówczesnych państw świata. Ambicją każdego filatelisty było wypełnienie wszystkich pustych pól w albumie. Opierając się właśnie na tego typu ambicjach filatelistów, Fournier umiejętnie je podsycał, twierdząc w swych artykułach, że każdy zbieracz wi-

nien wszelkimi sposobami dążyć do zapełnienia albumu, a umieszczenie w nim nieautentycznych znaczków nie jest żadną hańbą. Wręcz przeciwnie, jest to dążenie zdrowe i ze wszech miar pożądane.

Artykuły Fourniera wywołały falę protestów, ale jednocześnie pojawiły się i liczne głosy aprobaty. I o to właśnie mu chodziło, albowiem zarówno protesty, jak i głosy przychylnie sprzyjały reklamie jego znaczków. To zaś oznaczało sukces jego firmy. Należy więc przyznać, że był to fałszerz niezwykle, fałszerz o otwartej przyłbicy. Nie ukrywał charakteru swych wyrobów i tworzył je legalnie, w zgodzie z ówczesnym prawem. Inna sprawa, że tam, gdzie tylko się dalo, fałszerstwa Fourniera sprzedawane były jako autentyczne znaczki. Niejednokrotnie zwracano mu na to uwagę, podkreślano, że jego fałszerstwa kupują tylko ludzie nie znający się na rzeczy, początkujący filatelisci, a prawdziwi znawcy nimi gardzą. Fournier nie przyjmował takiej krytyki, sądził, że podyktowana jest zawiścią i brakiem zrozumienia dla jego twórczej pracy. A interesy nadal i równie twórczo rozwijały się aż do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Fournier fałszował niemal wszystko, co zasługiwało na filatelistyczne na uwagę i oczywiście przynosiło zyski. Oparował całą gamą możliwości, robił całkowite, jak i częściowe fałszerstwa, podrabiał na-

druki i przedruki, jego maszyny perforacyjne nadawały znaczkom poszukiwane na rynku rozmiary ząbkowań co cenniejszych emisji, a fałszywe kasowniki — bo i tym się zajmował — na fałszywych znaczkach dopełniały miary jego umiejętności. Należy również dodać, że Fournier zawsze dbał o zapasy odpowiednich gatunków papieru, aby być gotowym do wszelkich poczyną, a jego fałszerstwa stały na stosunkowo wysokim poziomie technicznego wykonania.

Wydarzenia wojenne zahamowały siłą rzeczy postępy filatelistyki. Interesy Fournierowskiej drukarni poważnie zmalały. Umarł również podczas wojny sam Fournier. Kolejny właściciel drukarni L. Hirschberger, nie mógł już rozwinąć skrzydeł. Nawet po zakończeniu wojny wytwórnia fałszerstw zaczęła gwałtownie podupadać i zakończyła swój żywot w 1927 roku wraz ze śmiercią ostatniego jej właściciela. Nowy etap w rozwoju filatelistyki nie sprzyjał już wytwarzaniu masowych fałszerstw.

Nowe czasy zrodziły jednak i nowego fałszerza. Był nim Jean de Sperati (1884—1957). Ten Włoch, mieszkający we Francji, uważał się za „Rubensa filatelistyki”, twierdził, że jeśli można kopiować plótna wielkich malarzy, to nie stoi na przeszkodzie, aby czynić to ze znaczkami.

Sperati działał na tej niwie już przed pierwszą woj-

ną światową oraz w okresie międzywojennym, ale po 1945 roku zaczęła mu sprzyjać doskonała koniunktura. W tym powojennym okresie nie wzbudzało zdziwienia ani podrażnienia pojawianie się tu i ówdzie olbrzymich rzadkości filatelistycznych. W czasie wojny bowiem wiele zbiorów rozgrabiono i teraz stały się przedmiotem handlowych kombinacji. Ponadto wiele ludzi zrujnowanych wypadkami wojny sprzedawało swe ocalałe niekiedy kolekcje. Słowem znalazł się w swoim żywiole i uruchomił własny warsztat. Z wielu stolic Europy sygnalizowano co prawda pojawienie się od czasu do czasu różnego rodzaju rzadkości na rynkach filatelistycznych, ale wszystko być może plynęłoby dawnym trybem, gdyby Sperati nie wybrał się ze swym „towarem” do Hiszpanii...

Na granicy francusko-hiszpańskiej celnik znalazł w walizce podróźnego kolekcję znaczków. Ponieważ francuskie przepisy celne przewidują cło ad valorem od znaczków, zarówno importowanych jak i eksportowanych, celnik zatrzymał nie zadeklarowany do oceny zbiór. Urząd celny nie znając wartości znaczków zawezwał eksperta. Okazało się, iż w zbiorze znajdowały się egzemplarze o ogromnej wartości! Zbiór zatrzymano. Ale Sperati nie przejął się tym zbytnio, a zadumionym celnikiem oświadczył, że zakwestionowane znaczki nie mają



# PRYWATNE ŻYCIE...

A black and white portrait of an elderly woman, Mrs. Mary Ann (Harris) Smith. She has short, dark, wavy hair and is wearing a dark jacket over a light-colored collared shirt. The portrait is set against a dark, textured background.

FRANCISZEK  
LEWANDOWSKI

JERZY  
WILMAŃSKI



KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

# NIEPOKOJE NATURY

Znam życie, ale czasami nie wiem, o co chodzi. Może dlatego nie jestem wielkim i sławnym człowiekiem, że urodziłem się w tym samym miasteczku, co i Kazimierz Wielki. Za młodu nie przykładałem się do nauk, dopiero później poznałem filozofię, literaturę, zoologię i inne dziedziny, ponieważ umysł mam wszechstronny i zagadki przyrody nigdy nie dawały mi spokoju. Ale bardziej niż do szkoły lubiłem chodzić do kościoła, ponieważ, kiedy służyłem do mszy, podpinaliśmy zawsze z Kazkiem Tyłtą mszalne wino i z wikarym, który założył przed plebanią boisko do gier sportowych, rozmawialiśmy ciągle o dziewczynkach.

Był to człowiek renesansowy, szczególnie zaś cenił sztukę antyczną i oprócz czystego ducha chciał wyhodować u parafian zdrowe ciało, toteż sędziował zawsze oparty o słupki, do którego przytwierdzona była siatka, obuty w białe tenisówki, przygryzał w zębach gwizdek. Dziewczyny podskakiwały, aż w szwach pękały szorty, a cycuszki trzęsły się im, jak galaretki, wikary gwizdał od czasu do czasu i obok gwizdka gościł na jego ustach słodki uśmiech. Szczególnie natomiast lubił, kiedy dziewczyny skakały przez poprzeczkę, wykonując nad nią nożycy.

— Prawa noga wyżej, prawa noga wyżej — doradzał stojąc z boku, do czasu, kiedy z biskupstwa nie przyszedł list zakazujący ćwiczeń cielesnych, prawdopodobnie skutkiem donosu lub wrogiej propagandy, prowadzonej z zupełnie różnych względów z jednej strony przez kierownika szkoły, z drugiej przez proboszcza.

Wino mszalne podpinaliśmy systematycznie, dolewając w butle wody, raz tylko Kazek Tyłta zamiast wody nalał gorzalkę, bo chciał zaskoczyć wikarego, ale akurat wypadł stary proboszcz i aż mu oczy przed oczyma zbiegły, gdy zobaczył przed obrazem Marii Niepokalanej minę tak zgorzsną, jakby spowiedzi Marylki Cichej słuchał, która była największą kurwą w mieście i która wodziła go na pokuszenie. Zaraz też od ceremonii świętej nas odsunął, bo po tej gorzale ciężko oddychał, a przecież Ciałem Pańskim im wypadało mu zakąsać, chociaż powietrza długo nie mógł złapać.

W domu bożym odgrywały się czasem takie hece, jak w dobrym cyrku, ale zawsze, nawet w czasie odpustu, czy w największe święto, była na sumie wolna jedna ławka, na niej bowiem siał Główny, który od czasu wojny ubarania na sobie nie zmienił i taki zapach jechał od niego, że nikt w pobliżu nie mógł wytrzymać.

Koło starego Rempla z prawej strony także nikt nie siadał, bo od ciągłego picia drżała mu prawa ręka, toteż, kiedy Bilecowa raz przy nim usiadła, potem znajomej tak powiedziała:

— Ale też on mnie przez całą mszę ruchał i ruchał.

I zaraz wieść o tym miasteczku obiegła, a fryzjer swoim klientom przy goleniu do dziś to opowiada.

W jedną niedzielę przyszedł na nabożeństwo chłop w butach tak wielkich, że obie stopy mógłby zmieścić w jednym bucie. My, z Kazkiem Tyłtą, staliśmy na zewnątrz, pół kroku za otwartym portalem, bo to się jest w kościele i nie w kościele, więc paliliśmy sobie papierosy, amerykańskie „Chesterfieldy”, które Kazek dostał od wikarego, dmuchaliśmy sobie dym nosem i puszczałyśmy kółka, które czasem wlatywały do kościoła i rozbiły się o kropielnicę. A kiedy nagle Kazek tego chłopca w butach zauważył, zaczęliśmy się śmiać i myśleć, co tu zrobić. Więc Kazek Tyłta, a miał on leć do takich rzeczy, przeszedł się koło niego i peta od „Chesterfielda” wrzucił mu do buta, a było to chwilę przed podniesieniem, bo zaraz wszyscy opadli na kolana i pet wleciał głębiej mu pod stopę. Dzwonki ministrantów przekrzykiwały się donośnie, głowy dziewczynek opadły jeszcze niżej, a gdy na moment stała się cisza, chłop wtedy wstał z klęczek i tupnął lekko prawą nogą. Potem tupnął trochę mocniej, a za chwilę tym butem siedmiomilowym zaczął w posadzkę tak mocno walić, że ludzie głowy podnieśli i proboszcz od ołtarza się odwrócił, ale tamten wieśniak wcale się nie spieszył, chociaż przeszywał go wyostrozony zawieszka wzrok kobiet z naszego miasta, trzeba to było widzieć, on tupął, jakby właśnie podczas podniesienia diabła w niego wstąpił, aż nagle przestał i stopę z buta wyjął, potem na środku kościoła, pod krzyżem pana Jezusa piasek z niego wysypał na posadzkę, a razem z piaskiem wyleciał pet od „Chesterfielda”. Wzrok wszystkich wiernych spotkał się na kupce piasku i wtedy proboszcz dał ministrantom rozkaz ręką do dzwonięcia.

Ale najlepszy numer zrobił Kazek Tyłta na mszy, kiedy proboszcz dla datku podstawił mu pod nos tacę. Wtedy sięgnął on wolno do prawej kieszeni marynarki, później do lewej kieszeni, następnie wywracał na wierzch podszewkę prawej kieszeni spodni, potem robił to samo z lewą kieszenią, a wcale się nie spieszył i proboszcz, stojący przy nim, powoli czerwieniał, ludzie w tym czasie odwracali głowy w tym kierunku, w końcu z kieszonek na piersiach wyjmował chusteczki i smarkał w nią z całej siły, aż echo niosło pod sklepienie. Od tego czasu w przybytku świętym smarkać zakazano, w gazetce kościelnej ukazał się napis:

„PROSIMY O GŁOSNE WYPROZNIANIE NOSA PRZED KOŚCIOŁEM”.

Musiałem jednak chodzić też do szkoły, choć nie wierzyłem, że może się to na co przydać. Więcej mnie tam nie było niż było, chociaż i w szkole działy się czasem interesujące rzeczy.

Szczególnie lubiłem kółko biologiczne, które pan dyrektor Ciomek prowadził pogładowo. Okna więc były zasłonięte, pan Ciomek stał tyłem do białego ekranu, w ręce trzymał cienki drewniany kijek.

— Poproszę o pantofelka — mówił w kierunku Kazka Tyłty, który zajmował się epidiaskopem.

Kazek odszukiwał w wielkiej książce pana dyrektora Ciomka pożądane zdjęcie lub rysunek, wkładał książkę w specjalne miejsce w aparacie i na białym ekranie ukazywał się wielki, jak słoń, pantofelek.

Dyrektor Ciomek raz tylko rzucił okiem na ekran, a potem stojąc do niego tyłem, omawiał wszystko z pamięci i wodził po ekranie cienką drewnianą wskazówką.

— Teraz poproszę o amebę.

Siedziałem zawsze w ostatniej ławce, przy Marzence Słodkiej, a ciemność, która nastawała po zasłonięciu okien, pozwalała nam przysunąć się do siebie. Tylko dlatego systematycznie ucześniełem na te zajęcia, zagadki przyrody zainteresowały mnie znacznie później.

— A teraz poznacie się z dżdżownicą — powiedział pan Ciomek. — Zapewne was to zainteresuje...

Właśnie w tym momencie przysunęliśmy się bliżej do siebie, za chwilę nasze ciała przedzielały już tylko szkolne ubranka.

Kazek Tyłta wsunął w aparat zdjęcia nagich babek, aż wszyscy zaczęli dusić się od śmiechu, podczas gdy pan dyrektor Ciomek stał tyłem do ekranu i prowadził wykład:

— Gruczoły rozrodcze są ściśle związane z wtórną jamą ciała. Komórki rozrodcze dojrzewają w celomie i wydostają się na zewnątrz najczęściej przez metanefridia — mówił jednym ciągiem, a na ekranie pojawiały się co chwila nowe nagie dziewczyny.

— Oto macie dzieci przed sobą dżdżownicę — powiedział pan dyrektor, nie oglądając się na ekran. W lewą rękę ujął wskazówkę i zaczął nią wodzić po nagim ciele dziewczyny na ekranie. — Tutaj macie siodełko — drewniana wskazówka krążyła wokół piersi — tutaj otwór odbytowy — wskazówka przypadkowo zatrzymała się na pępku — tu otwór gębowy.

Więc wśród zduszonych śmiechów przycisnęliśmy do siebie usta, podczas kiedy wskazówka na oślep błądziła po ciele nagiej dziewczyny, która siedziała na małym foteliku.

— Tutaj mamy męski otwór płciowy, a tutaj żeński otwór płciowy — powiedział dyrektor Ciomek i niespodziewanie się obejrzał, kiedy wskazówka przypadkiem zabłąkała się koło pośladków.

Pan dyrektor otworzył usta i zaczął krzyczeć:

— Dżdżownica?, dżdżownica? Tyłta, ty łobuzie, to ma być dżdżownica? Trzy ze sprawowania, trzy ze sprawowania!

W kacie gabinetu biologicznego, obok koziego szkieletu, znajdował się stojak do map, z niego zwieszał się karton, na którym tuszem czarnym i czerwonym narysowany był schemat pantofelka. Kazek Tyłta przyniósł kiedyś oficerskie buty swojego dziadka, które ustawiliśmy obok stojaka, tak, jakby ktoś schował się za zwisającym kartonem.

Pan Ciomek najpierw sprawdził listę obecności, potem odpytał wszystko o pszczołkach i swoim zwyczajem zaczął chodzić od okna do wypchanego dzięciola, do koziego szkieletu i z powrotem do okna.

— Powiedz mi, Tyłta, gdzie żyją pszczołki. A czym się żywią?

Tyłta wstał i powiedział, że nie może odpowiadać, bo czegoś się boi.

— Czego się boisz, Tyłta?

— Nie wiem, panie dyrektore.

— Nie bój się, nie bój się, Tyłta.

W pewnym momencie wzrok pana Ciomka spotkał stojące na baczność buty dziadka oficera i się załamał. Pan Ciomek przebiegł szybko wzrokiem wszystkie twarze, ale nie znalazł w nich nic oprócz przestrachu. Wtedy ja podniosłem dwa palce do góry, powstałem i powiedziałem:

— Ja też się boję.

Pan dyrektor otworzył szybko dziennik na liście obecności, sprawdził, kogo nie ma i szybko zaczął wywoliwać:

— Potocki, wychodź, Kapusta, wychodź... trzy ze sprawowania, trzy ze sprawowania... Potocki, Kapusta, trzy ze sprawowania...

Nikt jednak nie wyszedł. Pan Ciomek jeszcze raz obejrzał twarze uczniów, po czym mrowie przeszło mu po plecach i szybko wyszedł po swoją żonę.

Pani Ciomkowa wbiegła do klasy, jak huragan. Szeroka suknia zaczęła jej się o kłamek i głośno się rozpruła. Pani Ciomkowa jedną ręką trzymała rozprutą szatę, drugą zaś wysunęła do przodu i biegła z krzykiem, jak bogini wojny, w kierunku pantofelka.

Rada pedagogiczna zza uchylonych drzwi śledziła rozwój wydarzeń.

— Potocki, to się źle skończy — krzyknęła basem pani Ciomkowa do pantofelka, a potem jednym szarpnięciem zerwała karton na podłogę.

Rada pedagogiczna zgromadzona za drzwiami wydała ciężkie westchnienie zawodu i zaskoczenia.

Pani Ciomkowa, zwyciężywszy chwilowy stan bezruchu, schyliła stojące na baczność buty dziadka oficera, przeniosła je w kierunku okna, a potem przez nie wyrzuciła. Buty wyleciały do sadu księdza dziekana, toczyły się chwilę w ocienionej alejce, w końcu spoczęły u stóp proboszcza, który przechadzał się z książeczką w rękach.

Godzien uwagi był jeszcze pan Hrynek, który prowadził kółko wolnomyślicielskie.

— Jeśli nie ma Boga, nie ma też szatana — mówił wolno, a wzrok jego błądził po suficie. — Jeśli nie ma szatana, nie ma też złego ducha, nie ma złego ducha, to wszystko jest w porządku — pan Hrynek zamyślał się na chwilę — a skoro wszystko jest w porządku, to po co ta cała ceremonia? Ale pomyślcie teraz dzieci, powiem wam

KRZYSZTOF GAŚSIOROWSKI

(I NAGRODA  
NA VIII OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU  
POEZJI)

## Bardziej niż ty

Nie wyobrażasz się sobie  
we wszystkich rolach. Lecz uspakaja cię to,  
więcej niż trwoży.

A jednak,  
kto wie, czy kiedyś i gdzieś  
role nie wyobrażają sobie dla siebie  
każdego z nas; ciebie też.  
I wszyscy gramy jedną osobę.

Skąd wiesz,  
że nie istnieje przypadkowy rozdział  
losów i  
ten żebrak, ten morderca,  
ta chora, to dziecko, ten pognębiony  
i tamten, fałszywy triumfator  
nie są właśnie tobą,  
tylko że nieco bardziej niż ty.

zagadkę: czy pan Bóg może stworzyć kamień, którego by nie mógł podnieść?

To samo pytanie zadałem księdzu dziekanowi w kółku kościelnym „Czyste dusze”. Ksiądz dziekan zastanawiał się przez chwilę, a potem odpowiedział wolno i spokojnie:

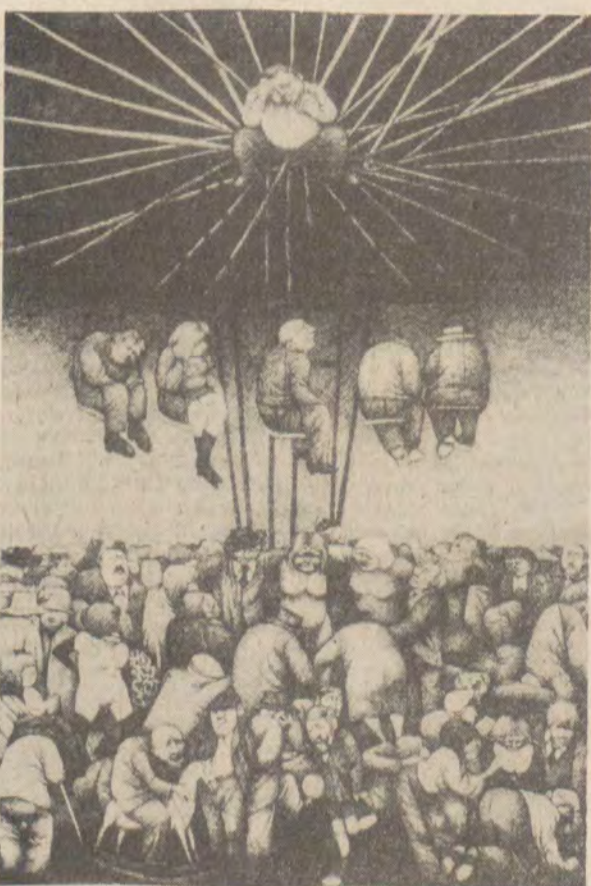
— Może, moje owieczki biedne, może, ale po co?

Ale niewiarę pana profesora Hrynka można było zachwiać, zwłaszcza dlatego, że wzrok miał bardzo słaby. Przywiązywaliśmy więc do pióra, które pan Hrynek kładł w dzienniku przezroczystą żyłkę i przeciągaliśmy ją na stole profesorskim przez dziurkę dla kalamarza. Pan Hrynek położył ręce na dzienniku i powiedział:

— Dzisiaj stwierdzimy, że cudów nie ma.

Potem otworzył dziennik, aby zapisać temat zajęć. Wtedy to Kazek Tyłta pociągnął drugi koniec żyłki i pióro szybko i lekko wysunęło się panu Hrynкови spod ręki. Ostrożnie zbliżył rękę do pióra, które powolutku się od niej oddalało. Dla dodania sobie odwagi krzyknął głośno, w kierunku klasy: „Cudów nie ma” i z niemałą, szybkim zamachem chciał schwycić pióro, które pociągnął Kazek Tyłta tak, że zniknęło w dziurze od kalamarza.

Fragment opowiadania „Rekolekcje dla głuchoniemych”, które w całości ukaza się w tomie opowiadań, przygotowywanych do druku przez Wydawnictwo Literackie.  
Tytuł fragmentu pochodzi od redakcji.



JERZY DUDA-GRACZ —  
„W co się bawić” — tusz









FILM

# Sztuka i moralność

Rangę filmu „ANDRIEJ RUBLOW” wyznacza refleksja moralna sprzegająca wielkość i funkcję sztuki nie tylko z geniuszem artysty, lecz i z jego sumieniem. Refleksja ta odnosi się do sprawy w dzisiejszym mowie o sztuce niemal wstydliwej, traktującej proces tworzenia jako autorytarną potrzebę serca i sumienia, potrzebę, której rangę sztuki nadaje talent, ale świadomość określa chęć służenia ludziom. Głos Andrzeja Tarkowskiego zabrzmił we współczesnych nam dyskusjach o funkcjach sztuki z powagą i godnością, która oczyszcza i zmusza do pochylenia głowy. By wypowiedzieć swe przekonania, Tarkowski zwrócił się do źródeł i tradycji sztuki narodowej — czuje się jej kontynuatorem, podtrzymuje tożsamość jej funkcji przed wiekami i dziś.

Opowieść o Andrzeju Rublowie, malarzu z przełomu XIV i XV wieku, zrealizowana przez Andrzeja Tarkowskiego w oparciu o scenariusz napisany wspólnie z innym znakomitym reżyserem, Andrzejem Michajłowem-Konczalowskim odbiega od jakiegokolwiek dotychczasowych wzorów filmów biograficznych nie tylko dlatego, że szerokożył zyciorys średniowiecznego artysty nie są znane. „Uboństwo informacji o Rublowie — wyznaje Tarkowski — dało nam pewną swobodę: w zmyśloną biografie wpisaliśmy swoją koncepcję, swoje poglądy na sztukę. Patrzymy na niego z odległości pięciu wieków, z pozycji naszego światopoglądu. Nie ma w tym nie sztuczności. Sama twórczość Rublowa, niewiarygodnie wyprzedzająca swoją epokę, dała nam możliwość odwołania się do wartości nieprzemijających (...). I to spalenie się człowieka w imię idei, która nim owładnęła i której z pasją służy, jest najważniejszą sprawą, którą chcę wyrazić w filmie”.

Powstała więc opowieść o młuchu, który w cerkwiach i monastyrach starej Rusi malował ikonostas. Rosła jego sława, był kościem mochnym tamtego świata i z szczytu tej sławy zaniżył, przestał tworzyć swe cudowne ikony. Do pracy powrócił po kilku latach milczenia. Tyle mówią fakty. Tarkowski, wpisując w nie pytania i odpowiedzi, do których doprowadziła go zarówno interpretacja biografii i twórczości Andrzeja Rublowa jak i własne, bardzo osobiste przekonanie o roli sztuki i artysty w dziełach dawnych i współczesnych. Kluczem do biografii i twórczości Andrzeja Rublowa stała się w filmie Tarkowskiego próba odczytania i ujawnienia epoki, która artystę tego wydała, był jej uczestnikiem, świadkiem, obserwatorem i zgodnie z Tarkowskimi koncepcją artysty, w twórczości Rublowa epoka ta znalazła swój wyraz, nie w sensie realistycznego jej odzwierciedlenia, ale w przeżyciu, którego przetwarzanie znalazło swój ślad w jego malarstwie. Zawarli w nim Rublow harmonie świata i ducha, spokój nieskończoności i piękno — rzeczy, których nie znalazł w otaczającej go rzeczywistości, pełnej straszliwych krzywd, okrucieństwa, zła i podłości. Rublow w pewnym momencie swego życia przestał tworzyć. Właśnie wówczas, gdy bagaż straszliwych doświadczeń, które były udziałem jego własnym i ludzi wśród których żył, zachwiał jego wiarę w harmonie świata. Do sztuki powrócił, gdy znów zrozumiał jak bardzo jest ona ludzkom potrzebna, choć wiedział, że jego ikony zła nie zniszcza. W troickim monastyrze zostawił dowód swego przekonania.

Nie prowadzi nas Tarkowski tropami zyciorysu Andrzeja Rublowa, zyciorys ten wpisuje w mroczne, dramatyczne dzieło średniowiecznej Rusi. W filmie Tarkowskiego jej obraz nie wydaje się być pieczołowitą rekonstrukcją historycznych faktów, czy etnograficznych i archeologicznych danych, jest próbą wyrażenia pewnej świadomości tego, czym i jaka średniowieczna Rus była. Wyobraźnia artysty nie rozminęła się z wiedzą, sztuka nadała jej tylko inny, artystyczny wymiar.

Opowieść o Rublowie i Rusi zawarł Tarkowski w kilku zamkniętych epizodach. W żadnym z nich nie pokazał jak bezpośrednio przeżył artysty odnajdując swój ślad w samym akcie tworzenia. Widzimy Rublowa wśród ludzi i zdarzeń, jest w samym środku świata, który kształtuje jego osobowość, jego los prywatny i doświadczenia — te są jego udziałem, ale i tych, którzy są wokół. Jemu, artyście, dane jest jednak przeżyć nie tylko tak po prostu po ludzku, tragicznie czy radośnie. By owocem jego życia mogła być sztuka, musi je przeżyć głębiej i dramatycznie. Ten dramatyzm przeżył, wyostrezone widzenie świata, narastająca świadomość niezgodności wyobrażenia z rzeczywistością, a prowadząca do konfliktu ze światem i wreszcie powrót do niego wyznacza linię niezwykłej dramaturgii tego filmu, pozornie niespójnego i rozbitego. Każdy z epizodów jest ponadto określona przypowieścią moralną, filozoficzną, w znaczeniach swych nie zmienia, choć tak dalecy zdajemy się być tamtym ludziom z średniowiecznej Rusi.

„Andriej Rublow” wciąga i urzeka swą moralną pasją, mądrością relacji i niezwykłym pięknem poszczególnych obrazów, przesyconych trudną do nazwania, lecz uświadamianą rosyjskością. Poetyka filmu Tarkowskiego niewątpliwie kontynuuje najpiękniejsze tradycje zarówno rosyjskiej literatury jak i filmu — przed Andrzejem Tarkowskim musiał być Lew Tołstoj i Sergiusz Eisenstein, musiał być Andriej Rublow, którego dzieła pojawiają się w tym filmie dopiero w ostatniej, barwnej sekwencji filmu. Uciekająca od zastanych tradycji wzorów filmowych biografii, taka próba przedstawienia Rublowa nadaje dziełu Tarkowskiego rangę traktatu, wykraczającego poza prezentację jednostkowego zyciorysu artysty. Posłużył on autorowi filmu do wyłożenia własnego rozumienia „naukowskiej roli i odpowiedzialności artysty”.

EWA NURCZYŃSKA

# TV

## SERIALE, LECZ NIE TYLKO

ELŻBIETA, KRÓLOWA ANGLII. Tym razem nie wpadłem w entuzjazm po pierwszym odcinku, jak było z „Wielką miłością Baizaka”. Serial Solarza zaczął się rzeczywiście bardzo obiecująco, a zakończył bardzo przeciętnie, co zostało dość zgodnie odnotowane przez recenzentów. W wypadku „Elżbiety” ta ostrożność była na szczęście zbyt duża. To przykład wzorowej roboty realizatorskiej i aktorskiej, a rola Glendy Jackson to dużej klasy kreacja aktorska. Jest to jednak dzieło, mimo wspomnianej wyżej zalety, określonej konwencji, a nie obraz „złotego wieku” Anglii. Walka o tron, intrygi, zbrodnie, cały ow „dworski psychologizm”, to jakby tylko jeden plan wydarzeń o których chcielibyśmy wiedzieć więcej. Ale co? konwencja! Trzeba ją przyjąć, albo odrzucić. Amatorów historii Anglii odesłać do innych filmów, książek, źródeł. I tak to chyba winno być.

Wróćmy do serialu takiego jakim jest, tzn. ciekawej i popularnej opowieści o angielskiej królowej, trzeba stwierdzić, że jest to udany sposób zdobycia widza, pobudzenia jego ciekawości, a kto wie czy nie głębszego zainteresowania przedstawioną mu w taki sposób epoką historyczną. Warto by o tym przypomnieć naszym realizatorom, gdy w przyszłości wezmą na warsztat nie tylko naszą najnowszą historię.

Do takich właśnie należy AKCJA V. Nie tak dawno pisałem o ogromnym zapotrzebowaniu na relacje, z mniej czy bardziej znanych, zakulisowych wydarzeń drugiej wojny światowej. Niewątpliwie sukces scenarzysty Jerzego Janickiego i reżysera Andrzeja Zakrzewskiego, jest jakby potwierdzeniem tej znanej powszechnie prawdy. A w wypadku „Akcja V” zainteresowanie widzów spoikało się z dobrą robotą realizatorów.

Widowisko przygotowane starannie, trafnie dobrano aktorów do dziesiątków ról, nawet tych drugoplanowych, co zawsze było słabą stroną naszych filmów telewizyjnych, nie tylko zresztą. Zadbano o szczegóły, na co widzowie znający jeszcze tamte lata z autopsji są szczególnie wrażliwi. Lecz w tym wypadku nie mieli powodów do irytacji.

„Akcja V” to przykład udany i trzeba o tym mówić. Zachęcić do bowiem może (i powinno) do dalszych penetracji tego typu. A tematów ciekawych i przy okazji znaczących co więcej na pewno nie brakuje.

„PRZYSTANEK AUTOBUSOWY”. William Inge’a, amerykańskiego dramaturga, którego krytyka umieszcza gdzieś między Tennessee Williamsem a Arturem Millerem znalazłmy dotychczas z wyswiewlanego w Polsce filmu „Piknik”. A szkoda. Teatr, który nam prezentuje nie jest gorszy od wspomnianych dwóch, bardzo u nas popularnych autorów. Szkoła realistyczna wśród polskich autorów nie jest w specjalnej estymie. Warto więc podkreślić, że jest to nadal teatr żywy i znajdujący widza. Co więcej, dla większości chyba widzów, będący jednym teatrem do zaakceptowania bez większych oporów.

William Inge napisał sztukę o samotności. Miejsce akcji umieścił w barze, gdzie z konieczności spędzają noc pasażerowie dalekobieżnego autobusu. W tej dość typowej scenarii dla amerykańskiego małego miasteczka czy osady, umieścił także typowych przedstawicieli amerykańskiej społeczności. I pozwolił im odegrać swe role, czyli przedstawić siebie, obnażyć swe pospolitość, a zarazem tragiczne oblicza. Ma to oczywiście, ten tragizm, dość stonowany i określony wymiar, ale przez to może czyni większe wrażenie na widzu. Ci ludzie stają mu się przez to bardziej bliscy, wierzy im, potrafi się przejąć ich losem. I chyba, co jeszcze ważniejsze, znalazł bliski punkt odniesienia do własnej egzystencji. Przecież ludzi takich jak Grace, Elma, doktor Lyman czy Joe — nie brakuje wszędzie.

Wyrafinowani smakosze awangardowego teatru wzruszają na pewno ramionami. Myślę jednak, że propozycja Inge’a i podobnych mu realistów ma nie tylko rację bytu, ale jest potrzebna, jest żywa. Przypomina nam bowiem w prosty sposób o tym co jest w ludzkim życiu nadal stałym zagrożeniem: wyobcowanie i samotność. A często nie tylko zagrożeniem, lecz udziałem.

### POLECAMY DO OBEJRZENIA...

Maksym Gorki „Ostatni”, (8. VI. godz. 21.30 p. I).

W dramacie „Ostatni”, podobnie jak we wcześniejszej oglądanej „Wassie Zeleznowej” przedstawia Gorki problem już klasyczny — obraz rozpadu i upadku moralnego burżuazyjnej rodziny, w okresie wyraźnego już naporu rewolucyjnych prądów. Bohaterem sztuki jest policmajster Kolomyjcew i jego rodzina, która na swój sposób Kochając niszczy swą bezwzględnością, głupotą i zakłamaniem.

Wg Brunona Jasińskiego: „Szeła”, (10. IV godz. 20.45 p. 2).

W roli tytułowej wystąpi Franciszek Trzeciak, reżyseruje Grzegorz Królikiewicz. I akcja i reżysera świeżo pamiętamy z grana aktualnie w kinach filmu „Na wylot”. Filmu, bez wątpliwości, wybitnego. To chyba najlepsza rekomendacja, żeby na nową propozycję Królikiewicza zwrócić uwagę.

JAROSŁAW TARNO

## TEATR

## 4 DNI WE WROCŁAWIU

Wrocław zaznacza na mapie kulturalnej Polski coraz wyraźniej swoją obecność. Żadne bodaj z miast wojewódzkich poza niedoścignym Krakowem nie dostarcza tylu bodźców intelektualnych i artystycznych, co właśnie Wrocław. Dzieje się to dzięki przężności środowisk naukowych i twórczych, a także chyba dzięki społecznemu mecenatowi prawidłowo realizowanemu przez powołane do tego czynniki.

Piękną ramę dla tych zespolonych wysiłków stwarza sumo nadodrzańskie miasto. Imponująca jest jego stara architektura z przebiegłym zespołem budowli sakralnych na Ostrowie Tumskim (gotyk z licznymi relikwiami romańskimi), z ufundowanym w XII wieku przez Pawła Włostowicę kościołem Najświętszej Marii Panny na Piasku, z wspaniałymi krasownymi frontonami kamieniczek mieszczańskich na Starówce, sąsiadujących niemal z pełnym rozmachem nowoczesnym budownictwem. Wszystko to zatopione jest w głębi zieleni, która wiosną szczególnie ujmuje swoją świeżością.

Tej pochwały Wrocławia nie mogłem sobie odmówić po krótkiej, czterodniowej zaledwie tam wizycie w związku z dorocznym (XIV już z rzędu) Wrocławskim Festiwalem Polskich Sztuk Współczesnych. W tym roku w imprezie tej uczestniczyli obok scen wrocławskich teatry z Warszawy, Gdańska, Katowic, Szczecina i Koszalina, dając łącznie 7 przedstawień festiwalowych (jedno gościło w ostatniej chwili odwolane). W tym chorze brakowało wyrażnie głosu teatralnego Krakowa i Łodzi.

Systematycznie wrocławskiego przeglądu nie przesłania, a przeciwnie uwypukla nikiel bieżącego produktu polskiej dramaturgii. I tym razem zaszerwiony zestaw sztuk Iredyńskiego, Kajzara, Kreczmar, Rózewicza, Sity i innych nie uzasadnia optymizmu w ocenie sytuacji. Brak zarówno arcydzieł — choć trudno odmówić wysokiego poetyckiego i filozoficznego waloru Rózewiczowskiemu „Wyszli z domu”, czy „Potępieniu doktora Fausta” Sity — jak i nie ma rzetelnej produkcji użytkowej, na jaką czekała teatry i widzowie.

Prezentacja jednej ze sztuk zakończyła się małym skandalem artystycznym. Chodzi o „Śmierć Kopernika” pióra i w reżyserii Józefa Grudy, wystawioną przez szwedzkiego Teatr Polski. Ani tekst, ani jego sceniczna interpretacja nie przychyliła się do przykładowego uczenia rocznie kopernikowskiej. Przedstawienie przebiegało w atmosferze wręcz żenującej, przy akompaniowaniu śmiechów i śmiechu efektów nie zamierzonych i przy opuszczaniu przez część publiczności sali. Nazajutrz recenzent „Słowa Polskiego” opatrzył sprawozdanie ze spektaklu wielomową tytułem „Jak grzebiąmy Kopernika”.

Prezentacją festiwalowym towarzyszyły sympozja teatralne na temat warunków startu dramaturgii i roli kierownika literackiego w kształtowaniu repertuaru i oblicza teatru, z udziałem licznych specjalistów z kraju, oraz z Czechosłowacji i NRD. Szczególnie interesująca była dyskusja zorganizowana przez Instytut Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego sesja poświęcona Stanisławowi Ignacemu Witkiewiczowi. Trzeba przy tym wiedzieć, że Wrocław jest silnym ośrodkiem wtkacologów (szczególnie reprezentatywny jest tu dr Janusz Degler).

Inaugurując sesję, prof. dr Czesław Herbas wskazywał na to, że Witkacy jest obok Mrożka najbardziej znanym i uznanym dziś w świecie zachodnim dramaturgem polskim. Jego sztuki, grane są przez teatry Paryża, Rzymu, Sztokholmu, Stanów Zjednoczonych, Brukseli, Meksyku, Nowej Zelandii. Chyba metafizycznej przenikliwości autora przypisać należy fakt, że podczas premiery „Matki” w... Honolulu jeden z aktorów doznał złamania ręki i nogi.

Zastanawiając się nad źródłami pośmiertnego sukcesu dramatycznego Witkacego, doc. dr Jan Błonski dokonał w ramach sesji, z bliskotliwościawanta, omówienia współczesnych poglądów filozoficznych i socjologicznych panujących na Zachodzie, od z gruntu katastroficznych — po umiarkowanie optymistyczne.

Uczestnicy sesji mieli możliwość zapoznać się z wystawą „St. I. Witkiewicz — życie i twórczość” w auli Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich oraz obejrzeć we Wrocławskim Teatrze Lalek widowisko „Głowa” oparte o teksty Witkiewicza i o jego listy do ojca. Scenariusz przygotował wspomniany wyżej Janusz Degler i reżyser Andrzej Dziadziul.



Omówione wyżej imprezy nie wyczerpują możliwości, jakie podsuwał do wyboru Wrocław w czasie trwania festiwalu. Wszystkie teatry wrocławskie oferowały swoje przedstawienia. A więc przede wszystkim Pantomima Tomaszewskiego kuśla swoją „Menażerią cesarskiej Filiszy”. W Teatrze Kameralnym można było obejrzeć sztukę jednego z przywódców przedwojennej Awangardy Krakowskiej — Tadeusza Pełperę „Skoro go nie ma”.

Teatr-Laboratorium Jerzego Grotowskiego nie wystąpił wprawdzie z własnym programem, ale w jego sali prezentowano widowisko „Jalowa”, firmowane przez Teatr im. Osterwy w Lublinie. Widowisko to, przygotowane przez aktora Teatru-Laboratorium Zbigniewa Cynkowskiego, nawiązuje do poetyki przedstawień Grotowskiego. Główną rolę gra aktorka Teatru-Laboratorium Irena Miercka.

Również poza konkursem festiwalowym występował w tych dniach we Wrocławiu Teatr Adekwatny z Warszawy z „Drugim pokojem” Zbigniewa Herberta i „Joanna d'Arc” Zs. Teatr Akademii Medycznej (TAM) z Krakowa przedstawiał widowisko „Niech żyje nam król i królowa”.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

## PLASTYKA



## ESSAM HANAFI OSMAN

Miałbym spore kłopoty z głębokim i prawdziwym odczuciem (= czy odczytaniem) obrazów E. H. Osmana, eksponowanych w łódzkim Klubie Dziennikarza, gdyby nie znakomity esej historyczno-krytyczny Zdzisława Głowackiego, pomieszczony jako wstęp do katalogu tejże wystawy. Błądziłbym po omacku wśród jaskrawych barw i form wyrażających, na próżno szukając ich prządeł: daremnie szukałabym sensu kompozycji, nieśwado, iż sens ich jest tak oczywisty i tak jednoznaczny. Widziałbym może jeno samo niefrasobliwe mazanie pędzlem i drapanie szpachlą, widziałbym może jeno przypadkowe zestawienie kolorów, znaczące tylko tyle, że są przypadkowe i niefrasobliwe. Atoli autor owego historyczno-krytycznego eseju wyjaśnił wszystko, a w każdym razie — wiele. Otoż utwierdził mnie, a jak przypuszczam, także i autora eksponowanych obrazów przede wszystkim w głębokiej świadomości, iż posiadamy — wspólnie z innymi oczywiście — całkiem niebagatelną tradycję i możemy śmiało uważać się za ludzi cywilizowanych. Ba — nawet bardzo! Bo czegoż innego dowodzić mogą słowa następujące: „Przywołując w pamięci tradycje naszej, to jest europejskiej kultury plastycznej, ciągle wracamy do tych zapisów, które stworzyli narody i kraje basenu śródziemnomorskiego — mamy tu na myśli przegatowaną kulturę babilońsko-asyryjską, egipską, grecką, fenicką, rzymską, arabską, bizantyjską, renesans włoski, barok hiszpański, futurizm włoski, czy wreszcie interesująca współczesną sztukę włoską lub hiszpańską. Wokół tego zlewiska działy się potężne rzeczy artystyczne, tradycjami których przez długie wieki żyliśmy i poniekąd do dzisiaj żyjemy, a które w sumie ważyły zawziętą i wazę w tworzeniu się współczesnej formy plastycznej z tą jedynie poprawką, że istniały w naszej tradycji także okresy, które rozdziły się w północnej Francji (gotyk, sztuka romańska, czy wreszcie w samym jej sercu impresjonizm, postimpresjonizm, kubizm i wszystkie pochodne po kubizmie). Dowodził historyczno-krytyczny esej autor tegoż historyczno-krytycznego eseju oraz znakomity z naukowej dziedziny powodził belkotu pseudokrytycznego i pseudohistorycznego tak głębokie wnikanie w temat zasługujące na szczególną uwagę, tym bardziej, że autor eseju ogarnia również różniczne związki i zależności, przyczyny i skutki dziejących się na przestrzeni wieków zjawisk kulturowych, penetrując ich czasoprzestrzenne i podskórne powiązania, nie kryjąc wcale swego wielkiego zadziwienia ich wielością: „Zadziwiająca sprawa stała się, że prądy, które powstały we Francji, dotarły do krajów, które w historii swojej pozostawiały nieprzemijające relikty artystycznego zapisu swego potęg militarnych, ekonomicznych i politycznych z jednej strony — z drugiej zaś pomieszały się z różnymi wpływami kultur krajowych lub nawet dalszych kultur Wschodu, to jest sztuki perskiej czy hinduskiej. Takim przykładem europejskich wpływów na sztukę Francji XIX i XX wieku, pomieszaną nie tylko w temacie z wpływami orientu (współczesna sztuka hinduska), czy nawet prymitywnymi afrykańsko-murzyńskimi, jest prezentowana kolekcja malarstwa egipskiego malarza Essama Hanafi Osmana”.

W ten sposób jesteśmy i u siebie, a równocześnie i gdzie indziej. I bliska też i zrozumiała staje się przez to sztuka E. H. Osmana. Tym bardziej, że: „W twórczości Essama dopatrzyć się możemy niewątpliwie wpływu pochodnych impresjonizmu tak w zestawieniach kolorystycznych jak i w samej metodzie obserwacji świata rzeczywistego z tą różnicą, że Essam chyba w sposób zamierzony stara się nie konkretyzować precyzyjnych kształtów lub nawet fragmentów kształtów, ale urzeczywistnia jedynie zestawieniami kolorystycznymi zacięta, wreszcie ucieka się do deformacji typu ekspresjonistycznego, lub prymitywizującego, tak bliskiego myśleniu afrykańsko-murzyńskiemu. Ten ekspresjonizm-prymitywizm jest trendem widocznym, jest najsilniej w jego kompozycjach figuracyjnych, czy fragmentach obrazów, przedstawiających ludzi i zwierzęta w plenerze, czy, tragiczno-allegoryzujących i treściowo wieloznacznych sytuacjach kompozycyjnych”.

Na sceptycyzm nie ma jednak rady. Dla mnie obraz E. H. Osmana są przykładem t.zw. zabawy w malarstwo, która srawia przyjemność przede wszystkim głównemu uczestnikowi tej zabawy, to znaczy samemu malarzowi. A ponieważ jest to malarstwo bezpretensjonalne, robione przede wszystkim dla samego siebie, kulturalne i wkradające się w świat kultury, a także dbałość o warsztat — warto jest obejrzenia.

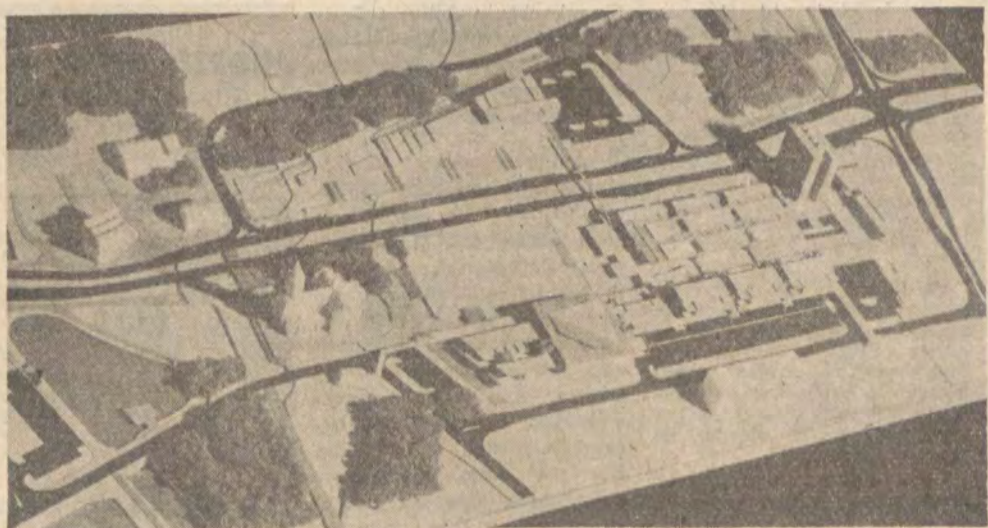
### ANDRZEJ GRUN

P. S. Zakładam, że autor wstępu do katalogu nie uzupełnił swego eseju stosowną bibliografią, a także suplementem charakterystycznym pokrótce niektórych z wymienionych przez siebie kierunków i prądów artystycznych. Malarstwu E. H. Osmana nie zaszkodziłoby to na pewno, a czytelnik dowiedziałby się tego i owego z historii sztuki.



RYSZARD  
BINKOWSKI

## NOWY PEJZAZ NAD DOB- RZYŃKĄ



Staromiejska dzielnica Pabianice — Bugaj — znana z przedwojennej biedy, czynszowych kamieniczek, rewolucyjnych wystaw robotników, w najbliższych latach całkowicie zmieni swoje oblicze: nad iennie płynącą rzeką Dobrzyńką dokona się „odwroćcie” krajobrazu.

Zdając sobie sprawę z unikalności tematu, jakim jest sprawa budowy nowoczesnego zespołu usługowego w powiązaniu z zabudową mieszkaniową w staromiejskiej, PMRN w Pabianicach, wykorzystując własne nadwyżki budżetowe, zorganizowało konkurs zamknięty na projekt koncepcyjny urbanistyczno-architektoniczny tego osiedla.

Prace konkursowe wykonane przez cztery zespoły łódzkie i cztery z innych środowisk — warszawskiego, gdańskiego, wrocławskiego i katowickiego stały na wysokim poziomie, przeto jury, w skład którego wchodził m. in. mgr inż. arch. Jan Michalewicz — prezes Zarządu Oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich, Jerzy Sadowski — główny architekt m. Łodzi i mgr Stanisław Fronczak — przewodniczący PMRN w Pabianicach, miało nielatte zadanie w wytypowaniu najlepszej. Ostatecznie na posiedzeniu w dniu 20 maja br. jury ustaliło, iż I nagrodę w wysokości 70 tys. złotych przyznaje pracy nr 1, której autorami okazali się architekci z SARP-Łódź: Zdzisław i Ryszard Dackowscy oraz Anna i Krzysztof Wiśniewscy. II nagrodę w wysokości 40 tys. złotych otrzymali za pracę nr 8 architekci z SARP-Warszawa: Konrad Kuca-Kuczyński i Alasztyd Szegidewicz. Przyznano też dwa wyróżnienia.

Nagrodzona praca nr 1 charakteryzuje się najbardziej udanym, współczesnym rozwiązaniem przestrzennym i dojrzałym rozwiązaniem funkcjonalnym. Przewiduje ona gruntowną, nowoczesną przebudowę placu Obrońców Stalingradu oraz terenów między

ulicami: Grobelna, ks. Skarży, Warszawską i Konstantynowską. W skład ośrodka usługowego wejdą m. in.: restauracja, pawilony handlowe, rzemieślnicze punkty usługowe, apteka, budynek komendy MO. Przy ul. Szewskiej powstanie jedenastokondygnacyjny wieżowiec hotelowy na 300 miejsc, a przy zbiegu ulic: Konstantynowskiej i Garniearskiej hala targowa. Na specjalnie usypanym kopcu ziemnym zbuduje się filię muzeum. Projektanci nie zapomnieli również o dogodnym rozwiązaniu komunikacyjnym, gdzie na specjalną uwagę zasługują dobrze usytuowane parkingi, nadziemne przejścia dla pieszych oraz, co chyba najistotniejsze w nowoczesnym mieście, zaplanowali około stumetrowy zielony pas strefy izolacyjnej.

Indagowany przez dziennikarzy o przebieg realizacji tych zamierzeń przewodniczący PMRN, St. Fronczak, powiedział:

— Jesteśmy zadowoleni z wyników konkursu, a przedstawione w nich projekty rozwiązują wiele problemów miasta. Wszystko, co zamierzamy zrobić w ramach przebudowy, powstaje z myślą o przyszłości. Pabianice bowiem do roku 2000 będą liczyć 100 tys. mieszkańców, a w powstającej na Bugaju dzielnicy mieszkaniowej zamieszka 22 tys. ludzi. Nowe inwestycje będzie się realizować kosztem wyburzeń, ale to jest konieczne.

Od 29 maja rozpoczyna się publiczna dyskusja nad projektem zabudowy dzielnicowego staromiejskiego ośrodka usługowego Bugaj. Być może znajdzie się oponeń, ludzie przywiązani do swego miejsca urodzenia, wrośnięci od lat w znajomy pejzaż, którym trudno będzie się pogodzić z gwałtownym wkraczaniem nowego w ich dzień powszedni. Ale życie idzie naprzód i Pabianice będą dążyć do zdobycia miana miasta na wprost nowoczesnego.

## POWIĘKSZENIA

### GEOGRAFICZNA CIEKAWOSTKA

„Spoglądając z ogromnego „Ila”, lecącego z Moskwy do Taszkentu, na ziemię, Morze Arabskie, Syr-Darję, pustynię Kizyl-Kum...” pisał Andrzej Hampel w „Dzienniku Łódzkim”. Z Moskwy do Taszkentu — rzadko się lata przez Morze Arabskie. Nie to, że nie po drodze, ile dlatego, że Morza Arabskiego w ogóle — jak dotąd — nie ma. Głupia sprawa.

### CHAPEAUX BAS!

„Przedefiniowało dostojne profesorskie grono w togach, lancuchach i beretach — pisał o Juwenaliach Zdzisław Szczepaniak w „Dzienniku Łódzkim”. W beretach? A może to byli komandosi?

### WSZYSTKO SIĘ ZGADZA

J. K. pisał w „Głosie Robotniczym”: „Na cieszę się, że zwykłym dużym zainteresowaniem Konkurs Jednego Wiersza wpłynęło w tym roku 99 l.z.w. zestawów poetyckich, zawierających w sumie ok. tysiąc wierszy”. Po pierwsze: Turniej Jednego Wiersza jest — jak sama nazwa wskazuje — turniejem jednego wiersza, więc nikt nie prezentuje tam „zestawów”. Po drugie: Około tysiąca wierszy wpłynęło na całkiem inny konkurs. Poza tym wszystko się zgadza.

## Spadek po Picassie

Jeszcze niedawno głośliła fama, że osiemset obrazów malowanych przez słynnych przyjaciół i kolegów Picassa, zgodnie z jego wolą, wdowa po wielkim malarzu przekazała jako dar do Luwru. Wkrótce jednak okazało się, że liczba tych obrazów jest znacznie przesadzona. Kolekcja ta składa się zaledwie z czterdziestu płócien, choć i one stanowią ogromny majątek. Picasso nie zostawił żadnego testamentu. Był najbogatszym artystą wszystkich czasów. Kto dziedziczy jego wille „Notre Dame de Vie” w Mougin na Łazurowym Wybrzeżu, zamek w Vauvenargues, jego dzieła, których wartość obliczona jest na wiele milionów franków?

Prawnymi i jak dotąd jedynymi spadkobiercami są Paulo, syn z małżeństwa Picassa z Olgą Chochłową i wdowa, druga żona Picassa, Jacqueline. Olgę Chochłową, córkę carskiego pułkownika, z pochodzenia podobno księżniczkę gruzińska poznał Pablo Picasso w roku 1917 w Rzymie, gdy przygotowywał dekoracje dla baletu „Parada”. Olga była piękną tancerką w

zespole Baletu Rosyjskich Diadława. Małżeństwo zostało zawarte w Hiszpanii. W roku 1921 Olga rodzi syna, Paula. W dwadzieścia lat później Picasso rozchodzi się z żoną, lecz nie uzyskuje rozwodu. (Olga umarła w roku 1955). W roku 1935 ze związku Picassa z Marią-Teresą Walter przychodzi na świat córka, Maja. Inne dzieci Picassa to syn Claude, dziś dwudziestopięcioletni i Paloma (23 lata). Ich matką jest malarzka Françoise Gilot. Porzuciła ona jednak Picassa zabierając z sobą nieuznane formalnie przez ojca jego dzieci. Wystąpiły one później w kilku procesach o u. znanie ojcostwa przez Picassa, ale nie osiągnęły niczego więcej prócz prawa do nazwiska ojca. W roku 1962 Picasso poślubił Jacqueline Roque, z którą pozostał aż do śmierci. Tak więc spadkobiercami wielkiego malarza są dziś jedynie jego syn Paulo i wdowa Jacqueline. Ani Maja, ani Claude, ani Paloma nie zostali zaproszeni na pogrzeb swego ojca. Paulo i Jacqueline nie pozwolili nawet dwójce legalnym wnukom Pabla Picassa (dzieciom Paula)

wziąć udziału w uroczystościach pogrzebowych.

Ile dzieł stworzył Picasso w ciągu swego życia? Niektórzy oceniają dorobek artystyczny genialnego malarza na 15 tysięcy obrazów, 100 tysięcy szkiców, 34 tysiące rysunków i 300 rzeźb. Wiele z tych dzieł Picassa darował przyjaciółom i znajomym, wiele sprzedał. Niektóre jednak prace, zwłaszcza z okresu wczesnej twórczości, odkupił od marszandów. Nikt nie jest jednak w stanie określić, ile i jakich dzieł pozostało w rękach Jacqueline i Paula.

Dar Picassa dla Luwru składający się z 40 obrazów, prywatna kolekcja artysty, składa się z niezwykle cennych płócien. Do najbardziej cennych należą kilka obrazów Cézanne'a, z którymi Picasso nigdy się nie rozstał i które chętnie pokazywał swym gościom. Cézanne, ogromna indywidualność malarzka, wywarł znaczny wpływ zwłaszcza na przyszłych kubitów, a więc i na Picassa. Ten zaś zawsze wysoko cenił swego kolegę po piędzu i należał do niewielu ludzi, którzy poznali nie talent Cézanne'a, nie mając całkowicie nieuznawanie przez swych współczesnych. Wśród kolekcji znajdują się też obrazy Matisse'a oraz seria dzieł Degasa, wykonanych techniką monotypii, uzupełniona pa. stelami. Seria przedstawia dwa-

naście scen z domu publicznego. Ponadto w kolekcji Picassa są płótna Henri Rousseau zwanego Celnikiem. Jest tu autoportret tego wybitnego przedstawiciela prymitywizmu w malarstwie i portret jego żony. Są w kolekcji collage'e Braque'a, z którym, jak wiadomo, Picasso stworzył kubizm. Są też obrazy Renoira. Z dzieł mistrzów dawniejszych kolekcja zawiera kilka obrazów Louisa Le Naina (on i jego brat Antoine byli wybitnymi przedstawicielami nurtu realistycznego w malarstwie francuskim XVII w.). Jest kilka obrazów Corota (1796—1875), którego plenerowe pejzaże m. in. inspirowały malarstwo impresjonistyczne.

Kolekcja nie zawiera ani dzieł Cranacha, ani Ingres'a, choć Picasso posiadał je i chętnie pokazywał swym gościom. Nie ma także interesujących rzeźb afrykańskich, których wpływ widoczny jest m. in. w tak słynnym obrazie Picassa jak „Panny z Avignonu”. Dzieło to zapoczątkowało nurt kubistyczny w twórczości Picassa.

Kiedyś Picasso zastanawiał się, kim jest w istocie malarz. I odpowiadał:

— To kolekcjoner, który chce mieć zbiór malując sam obrazy, które podziwia u innych.

Ofiarowanie kolekcji prywatnej wielkiego artysty Luwrowi pociągnie za sobą wiele for-

malności. Najpierw Jacqueline i Paulo musieli otrzymać potwierdzenie ich praw spadkowych i prawo do zrealizowania darowizny. Dzieła wchodzące w skład kolekcji będą musiały przejść dwie kontrole, których zadaniem jest stwierdzenie, czy obrazy mają dość wysoką wartość by mogły być w Luwrze. Wobec kolekcji Picassa będzie to tylko formalność, niemniej według obowiązujących praw musi być dokonana. Pierwszą kontrolę przeprowadzi jury złożone z 25 dyrektorów muzeów francuskich, drugą — zespół składający się z 25 ekspertów. Ofiarodawcy stawiają jednak pewne warunki Luwrowi. Po pierwsze dzieła z kolekcji Picassa nie mogą być rozpraszane, lecz zebrane w jednej sali specjalnie na to przeznaczonej, a nazwanej Salą Pablo Picassa. Po drugie — nie wolno będzie, ani całej kolekcji ani poszczególnych obrazów ruszać z miejsca, przewozić na inne wystawy. Ten ostatni warunek dyrekcja Luwru przyjmuje bardzo niechętnie, gdyż obrazy z Luwru wędrują często na rozmaite wystawy w różnych krajach. Dzieła samego Picassa mają pozostać w zamku w Vauvenargues, a sam zamek zamieniony ma być na muzeum imienia Picassa. Mówi się, że podatek w wysokości 20 proc. wartości spadku, Jacqueline i Paulo chcą

pokryć przekazując państwu część dzieł Picassa. Cieszyłoby to Francuzów ponieważ francuskie muzea państwowe posiadają zaledwie sześćdziesiąt dzieł Picassa. Istnieją także przypuszczenia, że właśnie prywatna kolekcja Picassa pokryłaby mijał ów podatek spadkowy.

Marszandzi niepokoją się, żeby spadkobiercy z jakichś względów nie przekazali na aukcję większej ilości dzieł, co natychmiast spowodowałoby obniżkę ich cen. Za życia Picassa marszandzi w porozumieniu z nim samym, dbali starannie o to, by jego obrazy przekazywane były do sprzedaży w ściśle wyznaczonych ilościach.

Jak na razie zdaje się, że jeden ze szwajcarskich marszandów już zrobił doskonały interes. Oto w dwa dni po śmierci genialnego artysty wystawiono w National Gallery w Waszyngtonie nabyty natychmiast po zgonie Picassa jego obraz z okresu wczesnej twórczości (1910) „Akt kobiecy”. Cena zakupu według przypuszczeń „Pisma „New York Times” wyniosła milion sto tysięcy dolarów, które otrzymał marszand z Bazyli.

JANUSZ  
SKOSZKIEWICZ

## Zemsta



W czasie wizyty w jednej z prokuratur naszego województwa uwagę moją zwrócił przedmiot, który obok innych zdeponowanych tu rzeczy leżał na półce dużej szafy. Był to wielki kaset, odlany z metalu, z czterema dziurami na palce. Brunatne plamy na nim — może zaschnięta krew, a może tylko rdza — dawały tej handylej broni tajemniczość.

— Skąd to się u was wzięło? — spytałem zainteresowany.

— To dłuższa sprawa, ale jeżeli chcecie, to wam opowiem.

Józefa W. jedyną córką bogatych gospodarzy w miejscowości K. przysparzała swoim rodzicom wiele kłopotów. Nie ganiła się do nauki, na ziemi pracować się jej też nie chciało, natomiast jedyną przyjemnością widziała w staniu przed lustrem i przymierzaniu coraz to innej sukienki. Z biegiem czasu rodzice przyzwyczaili się do charakteru swojej córki i słusznie sądząc że niech już taka będzie jak jest, a oni postarali się o młodego i równie bogatego chłopca, który ożeni się z umiłowaną jedynaczką i pracować będzie na ich i własnej roli. Miał już nawet uparzonego młodzieńca z sąsiedniej wsi.

Tymczasem jak grom z jasnego nieba spadła na nich wiadomość, że ukochana córka zdała się z niejakim Walentym R., niedobrego, właścicielem dwóch par portek i jednej marynarki, najmującego się do sezonowych robót u okolicznych gospodarzy. Co gorsza Walenty R. cieszył się zastężoną sławą tegorocznej zabójki, postrachu zabaw i odpustów w K. i okolicy.

Na nie zdawały się próby i groźby. Józefa przekładała towarzystwo Walentego ponad wszystko, a wyraźną satysfakcję przynosiła jej rosnąca liczba pobitych przez ukochanego młodzieńców.

Rodzice pięknej bądź co bądź Józefy nie rezygnowali. Do rozpaczy przez nich akcji, mającej na celu wyeliminowanie córce nieostojności jej postępowania włączyły się niebawem autorytety — sędzi, nauczyciel i ksiądz. Czy to ich perswazyje, czy też może rozsądek, który jak mówią przy-

chodził z wiekiem spowodowały, że Józefa W. coraz rzadziej przebywała w towarzystwie Walentego, a jego molojeckie sukcesy kwitowała śmiechem. Nie bez znaczenia był tu fakt, że Józefie W. przedstawiono właściciela kilkunastokrotnego gospodarstwa w sąsiedniej wsi, absolwenta Technikum Rolniczego, rokującego świetną przyszłość Franciszka C. Ten na odpuszczenie prosił jak Walenty o parę groszy na piwo, ale sam stawał i to w gospodzie. Akcje jego osiągnęły szczyt w momencie, kiedy to sam, przez nikogo nie proszony kupił na straganie dużego gipsowego psa, który zresztą do tej pory stanowi ozdobę mieszkania państwa C. Józefa postanowiła wyjść za mąż za Franciszka.

Ślub i wesele miały z różnych powodów na długo utknąć w pamięci gości i mieszkańców pobliskich wsi. Zaproszono 120 osób, a że wszyscy nie zmieściliby się w domu, znajomy e-lekturyk zainstalował w ogrodzie światło i tam też odbywała się uroczystość. Co prawda życzeń donosił, że odrzucony Walenty R. odgrza się srogą zemstą, ale w trakcie przygotowań do uroczystości po prostu o tym zapomniano.

Było już dobrze po północy, kiedy zabawa osiągnęła swój kulminacyjny punkt. Orkiestra grała polki i oberki, okrzyki „szorzo, gorzo” przepływały się z toastami na cześć rodziców obójki małżonków. Wtem wśród biesiadników pojawił się pijany Walenty R. W jednej ręce trzymał właśnie ów kaset, w drugiej zaś otworzoną brzytwę. Z okrzykiem „A tera to ja wam pokażę” nie wstąpił do środka, lecz rzucił się na orkiestrę, kierując swoje pretensje szczególnie w stronę perkusisty, któremu zresztą przejął brzytwę policzek. W tym momencie w ogrodzie zgasło światło.

Kiedy po pół godzinie byli na miejsce funkcjonariusze MO straszliwie poturbowany Walenty R. już nie żył, część gości weselnych opatrzyła obrażenia wynikłe w czasie bójki część zaś kontynuowała biesiadę.

Drobiazgowe postępowanie organów ścigania nie pozwoliło ustalić, czy to cios spowodował śmierć Walentego R. Śledztwo umorzono. Po Walentym R. pozostał kaset — smutny relikwiarz molojeckiej sławy wielkiego zabójki. Cieszył się on — niestety — w swoim środowisku sławą „charakternego chłopca”.



# PRZECZŁOŚĆ

## HISTORYK O GENEZIE PPR

„Powstanie PPR oznaczało, że obok burżuazyjnej koncepcji wyzwolenia oraz wyznaczonej z niej taktyki walki z okupantem hitlerowskim na postawie polskiego proletariatu w coraz większym stopniu oddziaływać mogła koncepcja wyzwolenia Polskiej Partii Robotniczej”. Zapamiętam te słowa z książki Mariana Malinowskiego „Geneza PPR” (1972), najpełniejszego w naszej historiografii opracowania dziejów polskiego ruchu komunistycznego od czasów bezpośrednio poprzedzających wybuch II Wojny Światowej do lipca — sierpnia 1942 r., kiedy to proces budowy partii został w zasadzie ukończony i można już było mówić „o istnieniu jednolitej organizacji partyjnej, skupiającej główne siły polskich komunistów”. Szeroka podstawa źródłowa pozwoliła uczonemu rzucić wiele nowego światła na sprawy pierwszorzędnej wagi, znane dotychczas w sposób bardziej niż niepełny, niejednokrotnie też ujmowane w postaci bardzo zdeformowanej.

Ruch działający w warunkach

konspiracyjnych — o tym, jakie one były, przypominać nie trzeba — nie miał możliwości i ochoty po temu, aby tworzyć archiwalną dokumentację, do której tak wzdychają historycy, toteż dokumentów jest niewiele a często brak ich w odniesieniu do spraw szczególnie ważnych. Czasem — wówczas, kiedy są — zachowały się w niecodziennej postaci. I tak na przykład tak ważny dokument, jak projekt pierwszej odezwy PPR, opracowany przez Grupę Inicjatywną, dotrwał do naszych czasów w tej postaci, w jakiej został przez nią przywieziony do kraju, jako... klisza fotograficzna.

Wiadomo, jaki był skład osobowy Grupy Inicjatywnej, ale na ogromne trudności napotykać już, kiedy przychodzi nam odtwarzać jej pierwsze kroki w kraju. Nie wiemy dokładnie, którego dnia została ogłoszona słynna pierwsza odezwa — manifest PPR „Do robotników, chłopów i inteligencji!” i jak dotąd musimy się zadowolić stwierdzeniem, że opubliko-

wano ją około 10 stycznia 1942 r., co historyk dodatkowo opatrzył zastrzeżeniem: „prawdopodobnie”.

Rozumowanie badacza jest tu następujące: wiadomo, że zebranie założycielskie PPR odbyło się 5 stycznia, wiemy także, że 13 tego miesiąca Centralna Egzekutywa Związku Walki Wyzwolenczej podjęła uchwałę o wstąpieniu do PPR.

„Z faktu, że w powyższej uchwale cytowano całe fragmenty z tekstu pierwszej odezwy PPR — dowodzi M. Malinowski — można wnioskować, iż już wówczas (około 10 stycznia) dokument ten znajdował się w obiegu na terenie Warszawy”.

I jak dotychczas, trudno tu powiedzieć coś więcej. Chyba że to, iż jeszcze całkiem niedawno znano ten dokument w wersji skazanej, bo w późniejszej redakcji, pochodzącej zapewne z lata tego samego 1942 r. W tej postaci został on ogłoszony drukiem w 1958 r. w wydawnictwie „Kształtowanie się postaw programowych PPR w latach 1942 — 1945”.

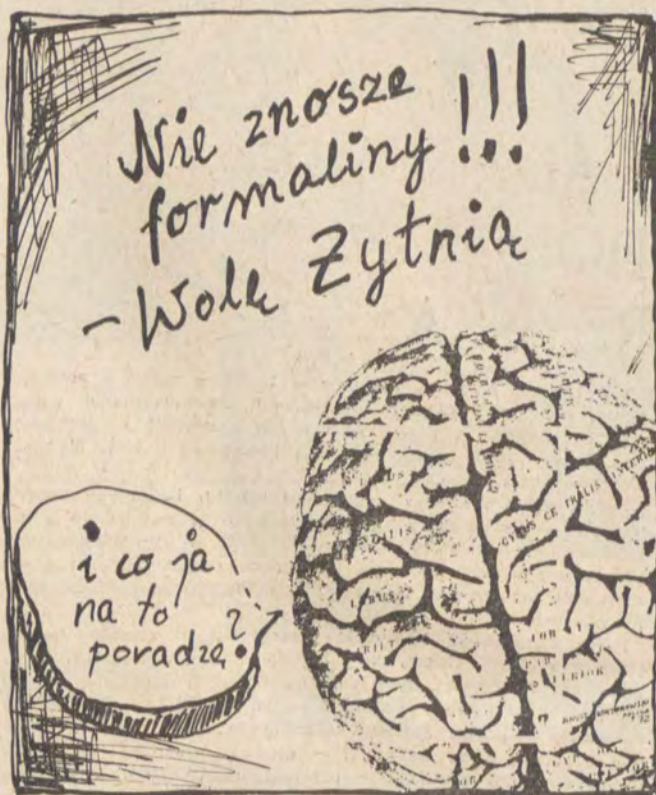
A ileż pytań nasuwają wciąż początkowe dzieje tworzenia PPR? M. Malinowski włożył olbrzymi wysiłek, aby w oparciu o możliwe najpełniejszy serwis źródeł ustalić skład osobowy choćby tylko pierwszych organizacji PPRowskich i chociaż uczynił więcej, niż wszyscy jego poprzednicy razem wzięci, przecież nie usunął wszystkich znaków zapytania. Co mówić o komórkach niższego szczebla, kiedy pomimo wszystkich wysiłków nie potrafimy dziś ustalić pełnego składu osobowego... zebrania założycielskiego PPR! Wiemy, że odbyło się ono 5 stycznia 1942 r.

w mieszkaniu Juliusza Rydygiera przy ul. Krasińskiego 18 na Żoliborzu w Warszawie. Znamy jego głównych uczestników, ale wciąż nie wiemy, kim był obecny tam niewątpliwie przedstawiciel Stowarzyszenia Przyjaciół ZSRR, występujący pod pseudonimem „Blondyn”. M. Malinowski przypuszczał, że może tu chodzi o Edwarda Bonisławskiego, jednak rozmowa, jaką przeprowadził z uczestniczącym w tym posiedzeniu starym działaczem komunistycznym Franciszkiem Łęczyckim obalila tę hipotezę. Nie ma oczywiście żadnego protokołu z tego tak ważnego zebrania i brak śladu, by ów kiedykolwiek istniał. Przebieg obrad odtwarza się jedynie na podstawie relacji uczestników, z których przecież nie wszyscy przeżyli...

Częściej, niż się to sądzi, ważne sprawy niedawnej przeszłości z braku dokumentacji są znane w sposób niepełny, nie mogący zadowolić naszej w pełni uzasadnionej ciekawości. Stąd wynika znaczenie, jakie dla badań historycznych posiada ujawnienie każdego, nieznanego dotąd źródła. Często jest nim jakaś nowa relacja, pamiętnik czy wspomnienie, niekiedy nie na pozór nie znaczący kawałek papieru, czyjs odnaleziony po latach notes, wyrwana kartka z kalendarza, na której ktoś zapisał parę słów. Niechaj nas nie śmiejszy, że historycy często łapczywie rzucają się na takie na pozór nie znaczące szpargały. Stąd płynie donio-

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



sie znaczenie zbierania wspomnień, pamiętników i relacji, świadectwa, którymi się posługują jeszcze żyjący ludzie, sługusie, a bez nich musi być którzy w pamięci przechowyli informacje o ważnych wydarzeniach, nawet gdyby pamięć ta była zawodna. Historia potrafi zweryfikować, świadectwa, którymi się posługują jeszcze żyjący ludzie, sługusie, a bez nich musi być którzy w pamięci przechowyli informacje o ważnych wydarzeniach, nawet gdyby pamięć ta była zawodna. Historia

LEKTOR

# Zdarzenia I Zwierzenia

## ROBOTNIK PISZE...

Pewien pisarz, wybitny zresztą, mieszkał jako sublokator u solidnej, drobnomieszczańskiej rodziny. Było to prawie pół wieku temu, gdy solidne, drobnomieszczańskie rodziny nadawały ton... Rodzina miała niezbyt rożgarniętego synka, który o pisarzu mówił zazwyczaj: „ten pan nie pracuje — on albo czyta, albo pisze...”

Historyjka jest stara i znana. Sam bohater przypominał ją kilkakrotnie w swoich książkach, a również podpierał tę anegdotkę swoje felietony parokrotnie. I właściwie nie byłoby powodu wracać do tej starej tejdywojennej anegdoty, do tej solidnej, drobnomieszczańskiej rodziny, gdyby... Otóż to!

„Jedni robią — drudzy piszą” — tak brzmi tytuł wypowiedzi dyr. M. Gustka i właściwie — nic dodać, nie ująć. Reszta, już mogłaby zostać milczeniem, bowiem poza to tytułowe stwierdzenie interlokutor redaktorki „Polityki” nie wychodzi. To znaczy nie mówi nie specjalnie nowego. Na pytanie, czy kwestionuje fakty w publikowanym w „Polityce” pamiętniku górnika, stwierdza: „nie o fakty idzie, lecz o ich wymowę”.

Otóż to — jeśli fakty przemawiają przeciwko nam, tym gorzej dla... faktów.

Proponuję dalej dyr. Gustka typową kapralską młode „organizacji”. Jeśli górnika nie ma tzw. koryt, jeśli nie ma wody — niech sobie... zorganizuje. A w ogóle górnika, który opublikował w „Polityce” swój pamiętnik, jest... złym górnikiem. I kropka. Nie ma o czym mówić.

Nie włączalby się do tej

polemiki między dwoma fachowcami, gdyby nie padły przy okazji sformułowania stare jak anegdota — apodyktyczne recepty i stwierdzenia z dziedziny, na której nieco się znam.

W szereg wypowiedzi Edwarda Gierka odnajduję zawsze uznanie i szacunek dla każdej roboty, zrozumienie trudu każdego pracującego obywatela PRL. Zarówno tego, który stoi przy warsztacie, jak i tego, który siedzi przy biurku. Tego, który uprawia ziemię i tego, który uprawia słowa.

Ja rozumiem, że dyr. Gustka poniosła emocja, bo mu ktoś wszedł w krytycznymi uwagami na jego podwórko. I to kto! Robotnik, który powinien pracować i „organizować”, a nie pisać do gazet. Myślę jednak, że dyr. Gustek się myli. Ja rozumiem jego emocje, ale wydaje się, że on jednak czegoś nie rozumie, oświadczając się z brakiem

szacunku dla piszącego robotnika, mówiąc z przekąsem o wartości pracy człowieka, którego przecież nie zna...

I to by było tyle, jeśli chodzi o spór — pozorne między fachowcami jednej branży — faktycznie jednak wkraczający w rejony o wiele bardziej szerokie, bowiem dotyczące stosunków między ludzkimi, szacunku dla ludzkich pasji, ludzkiego krytycyzmu, poglądów na rolę tzw. publikatorów...

Sprawy to nienowoczesne, wciąż znajdujące swój wyraz w łamach prasy, w codziennych rozmowach. I to przecież bardzo dobrze, że się te sprawy dyskutuje, rozważa, wiecie spory, że prezentuje się różne opinie. Daleki jestem od aplauzu dla nadmuchiwanej w swoim czasie w Chinach eksplozji powszechnego pisarstwa — były to zresztą organizowane laurki dla przewodniczącego Mao.

Uważam jednak, że spontaniczne, a więc autentyczne piślarstwo robotnicze (czy w ogóle nieprofesjonalne) jest zjawiskiem nie zasługującym na pogardę i lekceważenie. Wszelkie serie pamiętnikarskie, robotników, lekarzy, nauczycieli, rolników — dają nie tylko wielostronny obraz naszych czasów, ale są po prostu efektem przemian społecznych naszej epoki.

Czołowy poeta Renesansu — syn chłopca spod Żnina, Klemens Janicki, aby stać się wybitnym poetą, musiał się wyrzec swojej klasy. Było to normalne — w XVI wieku. Czyż jednak dziś zawołanie: „jedni robią — drudzy piszą” można usprawiedliwić?

WIDOK

# LEWYM OKIEM!

## LEONIDAS

Zawód sprzedawcy nie byłby taki najgorszy, gdyby nie to, że wciąż kreca się jacyś klienci, ten chce to, tamten owo, temu zważ, tamtemu odmier, jeszcze pretensja, że się momentalnie nie waży i nie mierzy, że się przy tym nie tylko nie podkakuje z radości, ale nawet zwyciężanie a grzecznie nie uśmiecha.

Konduktor w tramwaju latwiej godzi się ze swoim losem, może by się nawet czasem uśmiechnął, gdyby nie wieczny ruch pasażerów. Czego ci ludzie tyle jeżdżą? Każdy domaga się reszty, tłocz się śpieszą, na każdym przy-

stanku ich przybywa — skąd się tyle tego bierze?

Najcieżej to już chyba pracują rejestratorzy w ośrodkach zdrowia. Marnego kwadransu z koleżanką przegawędzić nie można! Przyszedł różni zgleci w pół, skrzywieni, bladzi, temu wyciągnij kartę, tamtemu wypisz L-4, i za wszystko człowiek odpowiada! Za sięgnięcie do szuflady, za znalezienie karty, której się przed trzema dniami nie włożyło, gdzie trzeba, za skierowanie akurat do chirurga, a nie do okulisty, ba! Nawet za bezbłędne przepisanie imienia i nazwiska!

Tak więc w każdym zawodzie istnieje jakieś uciążliwe i niewłaściwe jest ciągle tylko mówienie, że się tym ludziom płaci. No to co, że się płaci? To zaraz trzeba wymagać?

Przed kilkunastu laty jedno z poważnych czasopism kulturalno-społecznych, stanowiących w swoim typie zupełnie wyjątkową polską specyfikę, ogłosiło ankietę na temat: czy dobrze jest być młodym. Niestety, ankietę przerwano w połowie i do dziś nie wiem, czy dobrze było wtedy być młodym, czy nie. Obserwując jednak dzisiejszy świat, ten w zasięgu spojrzenia, myślę, że młodość jest coraz trudniejsza do zniesienia. Coraz więcej mamy zmaltretowanych życiem młodzieńców i dziewcząt. Nie, wcale nie dlatego, że rośnie odsetek „rozbitych rodzin” i że masowo wyrodniają rodzice, nie rozumiejący własnych dzieci. Doskonale pamiętamy czasy, kiedy rodzice wcale się nie zajmowali rozumieniem, a bardzo wielu z nich ani nie miało w ręku nigdy żadnego dzieła pedagogicznego, ani nie oglądało wychowawczo działających filmów w kinie i tele-

wizji. Nie było bowiem telewizji, nie było pieniędzy i czasu na kino, no i po prostu nie umiało się czytać... Ale za to jakieś znikomy procent młodzieży zdawał maturę!

Tak, najmielsi, to jest właśnie powód rosnącej kwoty zniesienia, frustracji i neurastenu w młodej części społeczeństwa: kwota rośnie bo rośnie liczba maturzystów. A matura to przecież jakieś fatalne zrządzenie losu, ciężka grypa z powikłaniami, uderka wymyślona złośliwie ku pogębieniu młodych.

W pewnym piśmie satyrycznym widziałem kiedyś rysunek, przedstawiający ośmioletniego chłopca, idącego pierwszy raz po wakacjach do szkoły. Chłopcy wychodził z domu z tornistrem na plecach i ciężkim westchnieniem: „psiarew, jeszcze pięćdziesiąt siedem lat do renty! Osobiście natomiast znam mamusię, która w lipcu już zaczyna wzdychać: Boże, już za dziesięć miesięcy Januszek przystępuje do matury!

W miarę upływu miesięcy mamusia od wzdychania przechodzi do załamania rąk i patrzy na Januszkę jak na ofiarę, którą ma ją dać dzie-

rzyc na pożarcie Molochowi. Histeria rośnie, udziela się tatulusom, którzy zaniebawia obowiązki służbowe, aby mieć czas i siły na denerwowanie się maturą swych brodatych dziubasów. Prasa odlicza, jak przed startem rakiety na księżyc: jeszcze miesiąc. Na dwa tygodnie matury. Już tylko tydzień...

Na wieści smutek i żalobę zażywa się dziś jak wiadomo relanium lub inne barbituraty. Po co nieutulona w żalu wdowa ma do żalu dodawać bicie serca? Na treję jest psychodryna, na każdy afekt sięga się po odpowiednią pigułkę i spokój. Istnieje zaś niewatpliwa psychoza traktowania matury jak losowego nieszczęścia, na które reaguje się tylko afektem.

Więc mamy, ojcowie i progenitura szpikują się pigułkami od marca, żeby podnieść siebie i bliskich na duchu, a ściślej — żeby duchowi zamknąć buzię, oszłomić go i przyciszyć. Jednocześnie masochistycznie podkręca się psychozę, rozpala emocje albo tylko snobizm na emocje. Po co tyle sensacji? Po co ta gorączka, ten szum, ta histeria? Znajomego lekarza prosi się

CWIEK